GAZETA POLSKA CHICAGO

BOŻE ZBAW POLSKĘ.

TAYLOR. CHICAGO

PISMO LUDOWE DLA POLONII W AMERYCE.

No. 30. | Chicago, Illinois, Czwartek, dnia 23-go Lipca, 1903 roku. | Rok 31.

ENTERED AT THE POST-OFFICE OF CHICAGO, ILLINOIS, AS SECOND-CLASS MATTER.

PREMIE

czyli podarunki dla naprzód płatnych abonentów "Gazety Polskiej w Chicago."

Ponieważ wielu abonentów zapisuje gazetę na kwartał lub pół roku, co utrudnia bardzo prowadzenie książek i naraża nas na znaczne koszta, postanowiliśmy dać każdemu abonentowi, który opłaci z góry "Gazetę Polską" na cały rok, premię czyli podarunek wartości jednego dolara w książkach znajdujących się w naszej księgarni, tak Powieściowych, Historycznych, jako też do Nabożeństwa, za dopłatą 10c na przesyłkę tejże premii. Jeżeli na premię wybierane są Roczniki Tygodnika, to trzeba dołączyć 40c na przesyłkę.

Jeżeli książka, wybrana na premię, kosztuje więcej jak dolara, to abonent dopłaca tyle, ile książka ponad dolara kosztuje i przysyła tę sumę razem z abonamentem. Naprzykład: Kto sobie wybierze w premii Słownik Polsko-Angielski i Angielsko-Polski Alexandra Chodźki, który kosztuje $4.00, to odciąga sobie $1.00 jako premię, a 3.00 przysyła razem z prenumeratą i dołącza 10c na przesyłkę premii. Prawo do powyższej premii mają tak samo nowi, jak i starzy abonenci "Gazety Polskiej."

"Gazeta Polska" na cały rok kosztuje dwa dolary, na pół roku $1.25, na kwartał 75c.

"Gazeta polska" do Europy kosztuje $3.00 na rok $1.50 na pół roku.

Katalogi książek i obrazów wysyłamy każdemu na żądanie bezpłatnie.

Władysław Dyniewicz.

NASI PODRÓŻUJĄCY AGENCI I KOLEKTORZY.

Naszym podróżującym agentem obecnie jest pan Wawrzyniec Radomski. Posiada on nasze zupełne zaufanie i ma prawo kolektować za "Gazetę Polską" i książki na co wydaje kwity.

Pan W. Radomski kolektuje obecnie za "Gazetę Polską" w Winonie, Minn. i Wisconsinie.

Pan W. Michalski kolektuje za "Gazetę Polską" w Massachusetts, New Hampshire, Maine, Rhode Island i Connecticut.

Abonenci, którzy mają opłacić prenumeratę za "Gazetę Polską," idący do pracy, niechaj pozostawią w domu pieniądze i upoważnią swoje żony do zapłacenia abonamentu, a odbiorą zaraz od niego swoje premie, jakie sobie obiorą, ponieważ wieczorem po 6-ej wnet zmrok zapadnie, to mało obejść można, a cały dzień się zmarnuje.

Władysław Dyniewicz.

Do Czytelników.

Kto z czytelników ma na adresie znaczek "July 3," znaczy to, że prenumerata jego skończyła się w Lipcu, 1903. Kto chce nadal Gazetę Polską odbierać, niechaj natychmiast przyśle prenumeratę; w przeciwnym razie wysyłkę gazety wstrzymamy.

W. Dyniewicz.

PAPIEŻ UMARŁ.

RZYM, 16 lipca.—Papież coraz bardziej upada na siłach. Puls jego coraz bardziej słabnie i często traci przytomność tak, że lekarze muszą używać środków podniecających, aby go przywołać do przytomności.

Pacyent cierpi na kaszel, duszność, brak snu, apetytu i boleść w piersiach, gdzie się ciągle gromadzi materya, utrudniając oddech i powodując boleści. Lekarze mają zamiar odbyć jeszcze jedną operacyę, aby wypompować nagromadzoną materyę w górnej części płuc, ale obawiają się, aby papież nie zakończył życia na stole operacyjnym. Podobno odbędą operacyę, gdy już nie będzie innego ratunku ani sposobu do ulżenia boleściom piersiowem.

Jest nawet przypuszczenie, że papież cierpi na raka, który się utworzył przed kilkoma laty na płucach i teraz rozszerzył się tak dalece, że choroba paraliżuje funkcye płuc i powoduje wydzielanie się i gromadzenie materyałów.

Czy przypuszczenia te są prawdziwe, przykonają się doktorzy po śmierci papieża.

RZYM, 17 lica.—Doktorzy ogłosili dzisiaj buletyn, w którym oświadczają, że stan papieża nie uległ wielkiej zmianie. Papież spał tej nocy spokojnie, ale opada na siłach coraz bradziej. Około południa papież zasnął tak twardo, iż zdawało się, że zakończył życie. Gdy się obudził oddychał spokojnie i rozmawiał z otaczającymi jego łoże boleści.

Doktorzy twierdzą, że o wyzdowieniu papieża nie może być mowy. Może pożyć jeszcze jakiś czas, ale niedługo.

RZYM, 19 lipca. — Stan zdrowia papieża nie budzi żadnych nadziei. Przypuszczenia jakoby papież cierpiał na raka w płucach, okazała się nieprawdziwemi.

Gdy papież śpi, wygląda jak trup. Oczy i policzki są wpadnięte a chory nie rusza się. Gdy się zbudzi, tylko po błyszczących oczach poznać można, że tli w nim jeszcze iskierka życia.

RZYM, 20 lipca.—Wszelkie wysiłki trzymania papieża przy życiu okazały się bezskutecznemi. Czcigodny pacyent upadał z dniem każdym na siłach, aż w poniedziałek rano przytomny do ostatniej chwili oddał Bogu Ducha.

Wiadomości o śmierci papieża rozniosły telegramy lotem błyskawicy po całej kuli ziemskiej, okrywając żałobą całe chrześcijaństwo.

I my łącząc swój głos z głosem całej cywilizowanej ludzkości nad zwłokami wielkiego bojownika dla chrześcijaństwa, odmawiamy: Wieczne odpoczywanie, racz mu dać Panie!

RZYM, 21 lipca.—Papież Leon XIII był przytomnym do ostatniej chwili a zanim śmierć nielitościwa przecięła pasmo życia 93 letniego dostojnika, z uśmiechem na ustach błogosławił Kościołowi i całemu chrześcijaństwu i zamknąwszy powieki, zasnął snem wiecznym.

PAPIEŻ LEON XIII.

urodził się dnia 2-go marca 1810, umarł 20 lipca 1903 r.



POPE LEO XIII.

ZYCIORYS PAPIEZA LEONA XIII.

Papież Leon XIII urodził się 2 marca 1810 w Carpineto o kilka godzin drogi od Rzymu. Niewielkie to miasteczko, posiada bowiem zaledwie 500 domów, a wygląda jak gniazdo skalne. Jednym z pierwszych domów jest tak zwane "casino" rodziny Peccich, oddalone od miasta jakie tysiąc metrów, jednopiętrowa willa z pięcioma oknami od frontu; łuki jej loggii kryją się w zwojach winogradu, wśród cyprysów i drzew orzechowych. Ponad "casinem", na górze widnieje natomiast "zamek" Peccich, zwykły dom dwupiętrowy o sześciu oknach frontowych, miejsce urodzenia dzisiejszego papieża. Obecnie mieszka tam kuzyn Leona XIII, nr. Lodovico Pecci. Napisy w komnatach świadczą, ze papież przebywał tutaj jako prałat, delegat arcybiskupi i kardynał. Na jednej z ścian znajduje się w ramkach za szkłem list, drżącą pisany ręką, pierwszy list, który, Joachim Pecci pisał z Watykanu, z datą 20 lutego 1878, a w którym powiadamia braci, że tego samego rana powołało jego nędzarza, święte kolegium na godność najwyższą, na tron Piotrowy. Kończy się list ten wyrazami: "Módlcie się za mnie gorąco i wiele do Pana". Pokój, w którym Leon XIII, ujrzał światło dzienne, zmieniono na kaplicę domową, z innej części domu zrobiono muzeum; przybywają tu dotąd czciciele papieża; on sam od lat czterdziestu Carpineta nie widział. Ostatnim razem bawił on tutaj od 30 września do 2 listopada 1857 r. przebiegając z strzelbą w ręku góry i doliny swej ojczystej ziemi. Od tego czasu już go tu nie widziano, została tylko jego rusznica, którą pokazują zwiedzającym miejsce jego urodzenia.

Ojcem Leona XIII był Domenico Lodovico Pecci, pułkownik papieski i komisarz wojenny. Syna czwartego z rzędu, ochrzczono w dwa dni po urodzeniu, dając mu imię Vincenzo Joachim.

Wychowywać dzieci w Carpineto nie było na czas dłuższy możliwem; pobożna matka, należąca do trzeciego zakonu św. Franciszka, namówiła ojca, aby Nina wraz z bratem Józefem, późniejszym jezuitą i kardynałem, oddał do konwiktu jezuickiego. Pułkownik był tego zdania, że Józef powróci jezuitą, natomiast Nino, który cały dzień przepędzał na przeprowadzaniu klaczy wuja Antonia, księdzem chyba nie zostanie. Nino zobaczył Rzym po raz pierwszy, jako chłopiec ośmioletni. Zawiozła go tam matka wraz z jego bratem Józefem. Zamieszkali u wuja, adwokata, w pałacu Mutich, w pobliżu Aracoeli' u stóp wzgórza. Po kilku dniach matka wyjechała do Viterbo, gdzie wskrzeszony przez papieża zakon jezuitów otworzył zakład wychowawczy dla synów szlacheckich.

W Viterbo pozostał Nino lat sześć, przebywszy klasy, odpowiadające niższemu gimnazyum. Uczniem był dobrym, spotkały go też rozmaite odznaczenia i nagrody; wcześnie też zaczęło się objawiać u niego zamiłowanie do poezyi łacińskiej, zwłaszcza do Wirgiliusza i Horacego, a i własne jego uzdolnienie poetyckie. Listy z tego czasu dowodzą wielkiego uczucia i wdzięczności dla rodziców, wielką skromność i prostotę serca.

Bolesna trwoga ogarnia go na wiadomość, że matka zachorowała na febrę; błagał o wiadomości, w tem matka zjawia się w Rzymie, spodziewając się, że wyzdrowieje — napróżno, choroba się wzmagała, matka wraca do Carpineto i umiera 5. sierpnia 1824 r.

Piętnastoletni Nino szczerze śmierć jej opłakuje i całą miłość zlewa na ojca, któremu co tydzień posyła wiadomości z Rzymu.

Brat Józef wstąpił do nowicyatu jezuickiego u św. Andrzeja; Nino, który odtąd nazywa się już tylko Joachimem, oddaje się całkowicie naukom.

W r. 1828 odkrył Leon XIII w świętym Tomaszu z Akwinu wszechźródło mądrości i uwielbienia dla teologicznego mędrca tego pozostał wierny do dnia dzisiejszego, wielbił go w swoich brewach i encyklikach i dokonał tego, że dzisiaj nawet świeccy profesorowie filozofii wydają "Bibliotekę św. Tomasza", a nawet objaśniają go ze strony społeczno-ekonomicznej, nie mówiąc już o myślicielach duchownych, którzy zwalczając racyonalistyczny kierunek filozofii nowożytniej, powołują się na Akwinatę. Siedemdziesiąt lat wytrwał Pecci w świecie tego ducha i dzisiaj, na początku wieku dwudziestego, zgotował średniowiecznemu myślicielowi tryumf niezwykły.

W Collegium Romannum oraz w trzyletnim kursie filozofii pierwsze pomiędzy słuchaczami zdobył sobie miejsce. Studya nad logiką i matematyką wstrzymywały go nawet od pisywania do domu. W r. 1827 i 28 oddawał się z zapałem matematyce, która ogromnie go zajęła. W czasie tym (10 lutego 1829) umarł papież Leon XII. Pecci uwielbiał w nim nietylko władcę państwa kościelnego i głowę kościoła, ale także opiekuna swych studyów; przed laty wręczał mu adres dziękczynny studentów rzymskich, z uwielbienia dla tego papieża nazwał się też wstąpiwszy na stolicę apostolską, Leonem XIII. Smierć papieża żywo zaprzątnęła jego umysł o szczegółach choroby, pogrzebu i o konklave donosi obszernie rodzinie. O nowym papieżu Piusie VIII. donosi: "Jak zwykle, papież jednym się podoba, drugim nie. Politycy są smutni, ponieważ wątpią w dobrą organizacyę państwa kościelnego a znów uczeni sławią wiedzę papieża. Tłum natomiast, jak zawsze niestały i nierozsądny, tryumfuje i marzy o szczęściu, którego zapewnie nigdy nie osiągnie. Pecci śledzi przytem bardzo pilnie wszelkie uroczystości okazuje zamiłowanie dla zewnętrznego blasku a wytęża wszystkie siły, jeżeli idzie o błyszczenie wiedzą filozoficzną lub matematyczno przyrodniczą, albo też o dysputy z teologii dogmatycznej. Z dysput tych wychodzi z tryumfem, olśniewa kardynałów i uczonych teologów którzy 20 letniemu młodzieńcowi świetną wróżą przyszłość."

Atoli po za nauką interesują go żywo wypadki polityczne: rewolucya lipcowa, śmierć Piusa VIII. etc. Capellari, poddany austryacki, zasiada na stolicy Piotrowej jako Grzegorz XVI, w listach swoich donosi Pecci że nie może przesłać rodzinie satyr na nowego papieża, bo ich niema, i że Grzegorz XVI nie zjedna sobie sympatyi ludu z powodu swej surowej nieprzystępności. Jeszcze przed koronacyą papieską wybuchło powstanie w Bolonii, cała Romunia idzie za przykładem tego miasta, próby rokoszu pojawiają się i w Rzymie podczas karnawału, zbliża się korpus austryacki. Pecci śledzi pilnie bieg wypadków, poza tem nie zapomina jednak o sobie, kształci się dalej i zbiera dokumenty, mające udowodnić że z hrabiowskiej pochodzi rodziny.

Dowód mu się udał, uznano jego hrabiowskie pochodzenie dzięki czemu ma prawo wpisania się do akademii szlacheckiej. Tymczasem inny spotkał go zaszczyt: Poeci rzymscy przyjęli go do swej Akademii arkadyjskiej, jako pasterza z Arkadyi.

Do akademii szlacheckiej wstępuje w roku 1832, przebywszy ciężką chorobę, mieszka w eleganckich pokojach, czeka na stypendyum; kanonikatu w Anagei na szczęście nie otrzymuje, ambicya jego zwraca się ku Rzymowi: tam trzeba zrobić karyerę. Marzy o dyspucie w obec samego papieża i kardynałów, wtem nawiedza go ciężki ból gardła, który trwa dziewięć miesięcy. Czas choroby spędza w Carpineto, po powrocie do Rzymu śledzi wojny domowe Hiszpanii i Portugalii i doczekuje się chwili, gdy w akademii może publicznie wobec tez swoich bronić. Dysputa świetny ma przebieg, kardynałowie szukają towarzystwa 25-letniego uczonego młodzieńca, kardynał Sala staje się jego protektorem, a niebawem dzięki opiece kardynała Pacca'y i innych, papież powołuje go do grona swych prałatów domowych. W tym czasie umiera mu ojciec, a Pecci ubolewa, że ojciec ten nie może się już cieszyć świetnym losem syna. Niebawem zostaje radcą w oddziale dla spraw wewnętrznych i pisze do brata: "Ponieważ jeszcze jestem młody, więc też bezwątpienia karyerę tę przebędę tak, że rodzina moja zyska na honorach, jeżeli zachowanie moje będzie nienaganne i jeżeli nie opuści mnie protekcya, dwa warunki, jak wiesz, niezbędne w Rzymie, aby można piąć się coraz wyżej". Zajmują go bardzo żywo sprawy sanitarne, gdyż w wiecznem mieście zaczęła wówczas szaleć cholera. Młody urzędnik papieski bardzo wymownie opisuje nędzę, przez nią sprowadzoną. Rzym miał wówczas 135,000 mieszkańców, w r. 1870 226,000, a od tego czasu liczba ta się podwoiła. W strasznych dniach tych 28-letni Pecci pisze swój testament, atoli gwiazda szczęścia przyświeca mu dalej: otrzymuje święcenie kapłańskie, wysyłają go jako delegata papieskiego do Beneventu gdzie objawia wielki talent polityczny. Tu się urywają listy Pecciego.

Później, przez lat 30 dobrym był administratorem swej dyecezyi w Perugii; a następnie jako nuncyusz świetnym okazał się dyplomatą. Dziesiątki lat nie zjawiał się w Rzymie, mając w wszechmocnym sekretarzu stanu za pontyfikatu Piusa IX, w kardynale Antonellim nieubłaganego wroga. Dopiero po jego śmierci (w listop. 1876) mógł przybyć do Rzymu, gdzie został kardynałem kamerlengiem, a w dwa lata później papieżem i w tym roku obchodził 25 letni jubileusz papieski.

Wiadomości Zagraniczne.

Zawikłania w Azyi.

KOLONIA, 16 lipca.—Do gazety "Koeln. Zeitung" donoszą, że wielkie manewry rosyjskie, jakie w tym roku miały odbyć się w okolicy Warszawy, zostały z tej przyczyny odroczone, ponieważ dwie brygady mieszane z okręgu warszawskiego zostały wysłane na daleki wschód azyatycki "celem wypróbowania urządzeń transportowych na kolei transsyberyjskiej". W tym samym rzekomo celu wysłano tam także 120-ty pułk piechoty z Rostowa.

Tymczasem z Chin donoszą, że objawia się tam wielkie wrzenie przeciwko Rosyi. Wrzenie to podsyca Japonia. Za jej staraniem usunięto z wpływowych stanowisk wszystkich chińskich dygnitarzy, którzy sprzyjali Rosyi. Z Japonii też dowożą wielkie ilości broni do Chin, mianowicie południowych. Zdaje się więc, że wysłanie owych brygad do Azyi wschodniej ma zupełnie inny cel, niż tu podany urządownie.

Rosya ustępuje.

WASHINGTON, 17 lipca.—Rosya zgodziła się ostatecznie na żądanie Stanów Zjednoczonych, mianowicie na otwarcie dwóch portów Mandżuryi dla handlu międzynarodowego. Porty te mają być otwarte dla handlu przez rząd Chiński za zezwoleniem Rosyi, która rządzi Mandżurią jako własną prowincyą.

Ugodę tę uważają w kołach miarodajnych za wielkie zwycięstwo dyplomacyi amerykańskiej, gdyż Stany Zjenoczone zdziałały więcej swą polityką, niż Japonia i Anglia swem groźnem wystąpieniem.

Prasa angielska nie przypisuje żadnej wagi do obiecanek rosyjskich i wypowiada stanowcze zdanie, że obiecanki te są tylko mydleniem oczów, i że rząd carski nigdy podobnych przyrzeczeń nie dotrzymuje.

PEKIN, 18 lipca. — Zawiadomienie, że Rosya zapewniła Stany Zjednoczone iż porty Mukden i Ta Tung Kao będą otwarte dla handlu międzynarodowego, nikt tu nie dowierza. Chiński minister spraw zagranicznych, książe Ching, nie podpisze prawdopodobnie tej ugody i to za tajnem porozumieniem z rządem rosyjskim.

Co z tego wyniknie, nie wiadomo na razie, ale przypuszczać należy, że rząd rosyjski w razie niezadowolnienia w tym wypadku, zwali całą winę na Chiny, aby sobie nie zrazić Ameryki, i mieć jeden więcej protekst do okupacyi Mandżuryi.

INTERES BANKOWY

Kurs pieniędzy, które wysyłama do Europy jest następujący:

	Kurs	Portor.
MARKA — do Niemiec, W. Ks. Poznańskiego, Prus Wschodn. i Zachodnich i Szląska	24 13/100	15c
KORONA — do Austryi, Galicyi, Czech, Morawii i Węgier	20 91/100	25c
RUBEL — do Rosyi, Litwy i Polski pod Moskalem	52 35/100	25c
FRANK — do Francyi, Belgii i Szwejcaryi	19 98/100	15c
GULDEN — do Holandyi	41 [illegible]/100	25c
KRONER — do Danii, Norwegii i Szwecyi	27 85/100	25c
LIRA — do Włoch	80	25c

Niewolno nikomu pośredniczyć w przesyłce pieniędzy, kto nie jest pod kontrolą rządową.

Władysław Dyniewicz.

Kalendarz Tygodniowy.

LIPIEC.

24 P. Krystyny p. i m.
25 S. Jakóba ap., Krystofora.
26 N. Anny, matki N. Maryi P.
27 P. Pantaleona, Berty i Marty.
28 W. Nazaryusza, Botwida m
29 Sr. Marty p., Feliksa.
30 C. Abdona, Zenona m., Judity.

WIADOMOŚCI Z POLSKI.

Królestwo Polskie.

WARSZAWA. — Gubernatorowie zbierają urzędowe dane o cenach robocizny przed żniwami. Według tych raportów, w Królestwie Polskiem zapotrzebowanie rąk roboczych jest wielkie i ceny idą w górę z każdym tygodniem. W gub. kaliskiej widoki urodzaju są pomyślne i w tych powiatach, gdzie ludność wychodzi na roboty do Niemiec, obawiają się braku robotnika. Właściciele ziemscy powiatów kaliskiego, wieluńskiego i słupeckiego już sprowadzają robotników z gub. lubelskiej i Galicyi wschodniej.

W r. p. zauważono w niektórych powiatach tej gubernii, że ludność, która na wiosnę wychodzi do Niemiec, nie powraca na zimę, co pozwala przypuszczać, że znalazła korzystniejszy zarobek na obczyźnie. W gubernii suwalskiej zapłata robotnika podskoczyła znacznie w górę już przed żniwami. Uczuwają tam brak robotnika, ponieważ ludność gubernii suwalskiej, a zwłaszcza z pow. władysławskiego wędruje do Westfalii, a z pow. suwalskiego i kalwaryjskiego do Ameryki. Rolnicy tamtejsi sprowadzają robotników z gub. mińskiej, ale obecnie napływ ich nie znaczny.

Wychodzą także do Ameryki włościanie z pow. augustowskiego, gdzie przewidują w r. b. brak robotnika; wskutek tego ziemianie za pośrednictwem towarzystw rolniczych sprowadzają z gubernii sąsiednich robotników na cały czas robót jesiennych. Warunki wynajmu sezonowego w gub. suwalskiej i łomżyńskiej są następujące: Wikt (kasza, słonina i kartofle), 8 rbl. miesięcznie, podróż w obie strony.

Sprzęt siana i zboża odbywa się przy pomocy żołnierzy. Ceny robotnika w gub. siedleckiej i lubelskiej wysokie, ponieważ ludność z tych miejscowości udaje się na roboty budowlane do Warszawy, Łodzi i innych miast. Średnie ceny robotnika w Królestwie, według raportów urzędowych, są następaujące:

Robotnik pieszy i na swoim wikcie od 30 kop. do 1 rbl. dziennie, robotnik konny od 40 kop. do 1 rbl. 90 kop. robotnica od 20 do 80 kop., dzieci od 10 do 30 kop., na wikcie gospodarskim robotnik pieszy od 30 do 40 kop. dziennie, konny od 60 kop. do 1 rbl., robotnica od 15 do 20 kop. i dzieci od 10 do 15 kop. Opłata miesięczna: robotnik od 5 do 12 rbl., robotnica od 3 do 10 rbl., dzieci od 2 do 6 rbl.; na cały sezon żniwa robotnik od 30 do 60 rbl., robotnica od 15 do 25 rbl. i dzieci od 15 do 20 rbl. Zapłata roczna robotnik od 45 do 150 rbl., robotnica 80 rbl., nie licząc ordynaryi.

Wielkie Ks. Poznańskie.

POZNAŃ. — "Gazeta Grudziądzka" pisze: "Z Koronowa odebraliśmy smutną wiadomość, że p. Hoppe (polak) sprzedał swój majątek (700mórg) w Buszkowie komisyi kolonizacyjnej." Hańba!

POZNAŃ. — W Chwałkowie przy kopaniu fundamentu pod chlew znalazł gospodarz Bierła z Chwałkowa pod Mchami blisko 300 sztuk monet srebrnych z lat 1660 do 1700 z wyraźnem popiersiem Jana Sobieskiego i innych królów polskich, a zdaje się także królów pruskich lub szwedzkich.

POZNAŃ. — Skazaniec wrzesiński, szewc Ignacy Furmaniak, po odsiedzeniu swej kary we Wronkach wrócił w zeszłą środę do domu. Pobyt w więzieniu tak podkopał jego zdrowie, że piątego dnia po opuszczeniu więzienia, zakończył życie na galopujące suchoty. Tak donosi "Lech".

ZNIN. Wieś rycerska Dobrylewo, po niemiecku przezwana Gubenwerder, obszaru 532,17 hektarów, przeszła z rąk niemieckich w polskie. Nabył ją za 552,000 marek p. Andrzej Meciejewski, który przed 8 laty jeszcze siedział na gospodarstwie 130-morgowem, do którego później dokupił folwark 500 morgowy. Pracą i oszczędnością dorobił się pańskiej fortuny. Oby się jemu podobni na kamieniu rodzili.

Dobrylewo było niegdyś własnością arcybiskupów gnieźnieńskich. W r. 1429 zamienił je arcybiskup Wojciech Jastrzębiec na Godawy. Odtąd stało się własnością szlachecką. Przed r. 1806 sprzedali je Dobrylewscy niemcowi. Przed blisko więc lat sto było w obcem ręku, aż je włościanin polski znów oswobodził. Dobrylewo leży na Pałukach i liczy się do parafii w Gorze, która się wyróżnia nazwą Gorą, a nie Górą. W obrębie tej samej parafii położone jest Januszkowo, ojczyzna poety Klemensa Janickiego.

Górny Szląsk.

LAURAHUTA. — W przeszłym tygodniu pisaliśmy o zaburzeniach przedwyborczych w Laurahucie na Górnym Szląsku, obecnie chcemy podać właściwą przyczynę tego smutnego zajścia, którego główną przyczyną był nietakt polskiego księdza, działającego przeciw posłowi polskiemu, a na korzyść niemca. Oto jak opisują to zdarzenie gazety polskie, nadeszłe w tych dniach z Europy:

W niedzielę 21. czerwca, przed południem wygłoszono w miejscowym kościele aż trzy kazania, ściśle polityczne (!), w których wnamiętny sposób występowano przeciwko kandydaturze poselskiej naczelnego kierownika" Górnoszlązaka", p. Korfantego. W piersiach ludu przepełniającego świątynię, poczęło wrzeć ze słusznego i sprawiedliwego gniewu i oburzenia. Gorycz, nagromadzona w całym ludzie górnoszlązkim wskutek niesłychanego i wprost wstrętnego miejscami nacisku duchowieństwa górnoszlązkiego przy głównym akcie wyborczym, wylewała się w tłumach wiernych po nabożeństwie. Smutną należało mieć odwagę, ażeby w takich warunkach i okolicznościach urządzać po tych roznamiętniających kazaniach publiczne zebranie wyborcze. Tę smutną odwagę znalazł jednak miejscowy proboszcz ks. Swider. Gdy w otoczeniu dwóch policyantów pojawił się na wypełnionej po brzegi sali, zakotłowało w piersiach rozżalonego tłumu. Poczęły sypać się ciche z początku, ale coraz to głośniejsze uwagi, zwrócone przeciw temu kapłanowi, których ze względów przyzwoitości przytaczać tu niepodobna. Równocześnie rozległ się potężnem echem okrzyk: "Niech żyje pan Korfanty!"

Ks. prob. Swider zabiera miejsce na estradzie. Oburzenie tymczasem wzrasta, odczuwa się złowrogą atmosferę na sali. Ksiądz Swider dzwoni, równocześnie przemawia, ale wrzawa nakazuje mu milczenie. Dzwoni dalej, ale przytem spostrzega złowrogie blaski oczu i rzuciwszy słowa: zamykam posiedzenie wychodzi bocznem jakiemś wyjściem. Lud jednak nie wychodzi, bo w ogólnej wrzawie nie dosłyszał ostatnich słów księdza proboszcza. Czeka więc; Widać, że ktoś pragnie przemawiać czy też już przemawia, oprócz gestykulacyi nic jednak usłyszeć niepodobna. Naraz spostrzeżono, że jeden z żandarmów nakłada jakiemuś uczestnikowi zebrania kajdanki na ręce. (!) Po chwili wprowadzają odnośną osobistość w otoczeniu dwóch żandarmów i dwóch policyantów z gołemi pałaszami. Zawrzało teraz w tłumie. Najbliższi chwytają na szable i łamią je. Zandarmi na ten widok dobywają rewolwerów i zdawało się, że już krew się poleje. Skończył się jednak względnie spokojnie. Po chwili posłyszano jednak trąbki, sygnalizujące na ogień, zajeżdża straż pożarna i strumień zimnej wody polewa się na tłum, który gromadnie poczyna opuszczać salę. Skutek wody był przeciwny zamiarowi. Tłum rzuca się na sikawkę, niszczy ją, a strażaków rozpędza. I tera rozpoczyna się smutny dramat. Zniknęła równowaga psychiczna i na stróżów bezpieczeństwa posypał się grad kamieni. Pono wszyscy ponieśli cięższe i lżejsze rany. Nadjeżdża druga sikawka, która puszcza ponowny strumień zimnej wody. Tłum uderza na nią, rznie węże na kawałki, rozpędza strażaków, zaprzęga się do wozu i rzuca wszystko wraz z końmi do pobliskiego stawu. Zapanowała teraz istna anarchia. Stróże bezpieczeństwa byli obezwładnieni, tłum pociągnął zaś na probostwo i oberżę hutniczą i rozpoczął prawdziwe dzieło spustoszenia. Na probostwie niema jednej całej szyby. Następnie przyszła kolej na hutę i budynek administracyjny, który zniszczono w podobnym stopniu.

Nagle pada salwa strzałów rewolwerowych, oddana przez urzędników tutejszych. Robotnik Strapalczyk pada trupem, kula ugodziła go w kręgi i wyszła czołem. Kilku innych raniono częścią lżej. Wkrótce nadbiegło pędem dwóch jezdnych żandarmów na koniach z Katowic i teraz powiodło się tłum powoli rozproszyć.

Zarekwirowane z Bytomia wojsko zastało już przywrócony spokój.

Takim był w głównych zarysach przebieg zajścia w Laurahucie. Nieprawdziwemi są rozsiewane wieści, jakoby tłumy już przed zebraniem oblegały salę już na ulicy i wzywane do rozejścia się stawiały opór.

Zaścia w Laurahucie są przygnębiającemi. Szkoda tego ludu, który gromadnie postrada pracę, który gromadnie zapełni więzienia. Czy sprawa narodowa na tem ucierpi, pokaże najbliższa przyszłość.

Ciężka moralna odpowiedzialność za te zajścia spadnie jednak na plebana miejscowego i na wszystkie czynniki centrowe duchowne i świeckie, które przy obecnych wyborach tereryzowały sumienia ludu polskiego.

Krew ścina się w żyłach, gdy człowiek wspomni na te wszystkie niesłychane nadużycia. Jednej sali na całym Górnym Szląsku nie można było dostać na zebranie przedwyborcze, ze zebrań centrowych wyrzucono zaś niemiłosiernie każdego, kto się poważył otworzyć usta przeciwko kandydatom centrowym. Na zebraniu w Pyskowicach śmiał nauczyciel seminaryjny Behrenheim oświadczyć, że p. Siemianowski jest nieprzyjacielem Kościoła, nieprzyjacielem biskupów i księży, nieprzyjacielem Sakramentów świętych. Teroryzują lud polski na zebraniach, teroryzują go w konfesyonałach, teroryzują go w prywatnem życiu, bo w Biskupicach miejscowy proboszcz Barcik napastuje codziennie agentów polskich gazet, ażeby porzucili polsko-narodowe gazety, grożąc, by inaczej nie pokazywali się w kościele.

Ciężka moralna odpowiedzialność spadnie jednak równocześnie na redakcyę "Katolika", która mogła w głównej mierze zażegnać burzę, jak zawisła nad ludem polskim, a tego nie uczyniła. Nie ma może uświadomionej jednostki na Górnym Szląsku, którąby nie dowodziła, że tak okólnik ks. kardynała, jak i potępienia godną agitacyę duchowieństwa można było we większej części uchylić, gdyby "Katolik" był pewną życzliwość okazał ruchowi narodowemu.

RACIBORG. — "Nowiny Raciborskie" donoszą, że od ogłoszenia "listu pasterskiego" kardynała Koppa, z różnych stron Górnego Szląska nadchodzą do redakcyi, że niektórzy księża walczą z wszystkiemi gazetami polskiemi, potępiają wszystkie i odstręczają lud od czytania. "Nowiny Raciborskie" winią za to "Górnoszlązaka", zwracają jednak równocześnie księżom uwagę, że jeśli dalej w ten sposób wojować będą z gazetami polskiemi, spodziewać się mogą gorżkich owoców.

W BYTOMIU w kościele św. Trójcy miał się odbyć ślub p. Wojciecha Korfantego z panną Sporcianką. Wszystko już było przygotowane, gdy o godzinie 6 po południu oświadczył ks. prob. Schirmeisen —jak pisze "Górnoszlązak" — p. Korfantemu, "że mu ślubu dać nie może, chyba że w polskich i niemieckich pismach przeprosi wszystkich księży, przeciw którym "Górnoszlązak" występował, że przeprosi ks. kardynała Koppa a zarazem da przyrzeczenie, że już nigdy przeciw księżom występować nie będzie."

"Górnoszlązak" dodaje że ślub odbędzie się później w innych warunkach.

Naszem zdaniem, ks. Schirmeisen popełnił wielki błąd nie tylko jako polityk, ale po prostu jako sługa Kościoła. Następstwa nie trudno przewidzieć.

Korfanty bronił tylko sprawy polskich posłów i wytykał błędy jakie popełnili księża niemieccy z kardynałem Koppem na czele, w agitacyi przedwyborczej, a ponieważ Korfanty wygrał, więc księża mszczą się nad nim.

ROGOW. — Ogromny pożar powstał w tych dniach w tartaku właściciela Jacoba w Rogowie. Cały tartak wraz z ogromną ilością drzewa spalił się. Ponieważ wiatr dął w stronę miasta, przeto było takowe zagrożone tak, iż już wielka liczba mieszkańców przygotowywała się do ucieczki. Naprzeciwko tartaka jest dworzec, który również musiano wyprzątnąć, a wagony towarowe przetransportowano po za obręb miasta. Telefonicznie i telegraficznie przywołano wiele sikawek, które starały się ochronić dworzec i inne pobliskie budynki. Szkody powstałe wynoszą około 30 do 50 tysięcy mk., a ponosi je towarzystwo zabezpieczenia od ognia. Burmistrzowi udało się wyśledzić sprawców pożaru. Dwóch chłopaków, 7 i 9 letni Lange paląc papierosy, poszli do szopy z drzewem, gdzie jeden z nich rzucił tlącą się zapałkę w trociny, które zaczęły się palić.

KATOWICE. — O niesłychanem zdziczeniu hakatystów świadczące zdarzenie opisuje, jako wielkie zwycięstwo żywiołu niemieckiego nad polskim, "Katowitzer Ztg.": "Zwolennicy partyi wielkopolskiej przybyli do Mikołowa, aby tam założyć Towarzystwo "Sokół". O zamiarze tym dowiedziało się kilku urzędników niemieckich, werkmistrzów itp. z fabryki machin spadkobierców Kotza oraz z huty Waltera. Natychmiast zmobilizowali 200 robotników niemieckich, członków Tow. gimnastycznego i straży ogniowej, których rozstawili w oddziałach po 50 ludzi po rozmaitych punktach, w tym celu, aby rozbić zebranie polskie które miało się odbyć pod gołem niebem. Skoro tylko wynaleziono Sokołów, sprowadzono resztę oddziałów na miejsce zborne i rozpędzono Polaków".

WROCŁAW. — Nowy fundusz antypolski zamierza stworzyć rząd pruski, tym razem dla Szląska Górnego, "National liberale Correspondenz" donosi mianowicie, że już w przyszłoroczny budżet wstawione będą znaczniejsze sumy "dla poparcia szkolnictwa ludowego w powiatach szląskich, zamieszkałych przez ludność polską".

Galicya.

LWOW. — Temi dniami przyjechał do Lwowa p. Adam Michałowski, weteran z roku 1863, mieszkający od kilkadziesiąt lat w Turcyi, w Carogrodzie. Kolonia polska nad Besforem ma p. Michałowskiemu bardzo wiele do zawdzięczenia. W jego bowiem domu ogniskowało się życie polskie przez długie lata. On chronił wielu polaków od wynarodowienia, niezamożnych wspierał materyalnie, celem niesienia skutecznej i stałej pomocy rodakom, których losy zagnały do Carogrodu, założył tam wroku 1885 istniejące po dziś dzień polskie Towarzystwo wzajemnej pomocy i dobroczynności. Sterował niem chlubnie przez lat 5; ustąpić musiał z prezesury w roku 1882 z powodu ciężkiej choroby. P. Michałowski jest z rodu litwinem; urodził się w roku 1844 w majątku rodzinnym, w Pierzchowicah, w powiecie słomińskim (gub. grodzieńska). Po ukończeniu szkół na odgłos trąbki bojowej zaciągnął się w roku 1863 w szeregi powstańcze i dosłużył się stopnia porucznika piechoty litewskiej. Po pogromie udało mu się przedostać za granicę; po dłuższej tułaczce osiadł w Carogrodzie, gdzie własną, zmudną pracą dorobił się znaczniejszego mienia. Nieszczęśliwem zdarzeniem losu przyszło mu postradać nagle cały zarobek. Oto w samą noc wigilijną 1896 roku, niewykryci złoczyńcy obrabowali go, zabierając cały fundusz, owoc 33 letniej ciężkiej a zaszczytniej pracy. Dobrze około sprawy narodowej zasłużony obywatel pozostał nagle bez środków do życia. Ciężka, zdwojona praca nie pozwala mu już oddawać się całkowicie zarządowi Towarzystwa polskiego. Pracuje jednak dlań na skromnem stanowisku sekretarza P. Michałowski pragnie ostatnie lata spędzić w kraju i osiąść w nim na stałe, zwłaszcza, że w stolicy Turcyi warunki życia coraz trudniejsze, nędza staje się tam powszechną.

— Zawikłania międzynarodowe w Chinach są tak poważnej natury, że wojna między Japonią i Rosyą wisi tylko na włosku. Japonia jest gotowa do wojny i ma wielkie szanse powodzenia.

PISMA
Adama Mickiewicza.

Dosłowny przedruk z wydania lipskiego.
TOM III.

DZIADY.
CZĘŚĆ PIERWSZA.
(FRAGMENTA.)

Skinął na Tadeusza, rzucił wzrok surowy:
Znać było, że przychodził już do wniosków mowy.

Wtem brzaknął w tabakierkę złotą Podkomorzy,
I rzekł: "Mój Sędzio, dawniej było jeszcze gorzej!
Teraz, nie wiem, czy moda i nas starych zmienia,
Czy młodzież lepsza, ale widzę mniej zgorszenia.
Ach, ja pamiętam czasy, kiedy do ojczyzny,
Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny,
Gdy raptem paniczyki obce z cudzych krajów
Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
Prześladując w ojczyźnie Boga, przodków wiarę,
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.
Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,
Gadających przez nosy, a często bez nosów,
Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,
Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.
Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza:
Bo Pan Bóg, kiedy karę na naród przypuszcza,
Odbiera najprzód rozum od obywateli.
I tak, mędrsi fircykom oprzeć się nie śmieli —
I zląkł ich się jak dżumy jakiej cały naród,
Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród.

Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory:
Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory
Była to maszkarada, zapustna swawola,
Po której miał przyjść wielki post—niewola!

Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecię,
Kiedy do ojca mego, w Oszmiańskim powiecie,
Przyjechał Pan Podczaszyc na francuskim wózku
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.
Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem!
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stanęła Podczaszyca dwukolna dryndulka,
Która się po francusku zwała kariulka:
Zamiast lokajów, w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach niemczysko, chude nakształt deski:
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnemi klamrami trzewiki.,
Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopi żegnali się, mówiąc, że po świecie
Jeździ wenecki djabeł w niemieckiej karecie.
Sam Podczasyc jaki był, opisywać długo.
Dosyć, że się nam zdawał małpą, lub papugą —
W wielkiej peruce, kótrą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie,
Milczał: bo by krzyczała młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progressy, że zdradza —
Taka była przesądów owoczesnych władza!

"Podczasyc zapowiedział, że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstytuować:
Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni
Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi —
Choć o tem dawno w Pańskim pisano zakonie,
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
Nauka dawną była, szło o jej pełnienie!
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.
Podczaszyc, mimo równość, wziął tytuł Markiza:
Wiadomo, że tytuły przychodzą z Paryża,
A natenczas tam w modzie był tytuł Markiza.
Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,
Tenże sam Markiz przybrał tytuł Demokraty;
Wreszcie, z odmienną modą, pod Napoleonem,
Demokrata przyjechał z Paryża Baronem:
Gdyby żył dłużej, może nową alternatą,
Z Barona przechrzciłby się kiedy Demokratą.
Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi:
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

"Chwała Bogu, że teraz, jeśli nasza młodzież
Wyjeżdża za granicę to już nie po odzież,
Nie szukać prawodawstwa w drukarskich kramarniach,
Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach.
Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędki,
Nie daje czasu szukać mody i gawędki.
Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,
Że znowu o Polakach tak na świecie głośno;
Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita
Zawżdy w wawrzynów drzewo wolności wykwita.
Tylko smutno, że nam, ach tak się lata wleką
W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!
Tak długo czekać! nawet tak rzadka nowina! —
Ojcze Robaku — ciszej rzekł do Bernardyna—
Słyszałem, żeś z za Niemna odebrał wiadomość;
Może też co o naszem wojsku wie Jegomość?"
"Nic a nic" odpowiedział Robak obojętnie —
Widać było, że słuchał rozmowy niechętnie —
Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy
Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy
Bernardyńskie: cóż o tem gadać u wieczerzy:
Są tu świeccy, do których nic to nie należy."

Tak mówiąc, spojrzał zyzem, gdzie śród biesiadników
Siedział gość, Moskal; był to pan kapitan Ryków,
Stary żołnierz, stał w bliskiej wiosce na kwaterze,
Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę.
Ryków jadł smaczno, mało wdawał się w rozmowę,
Lecz na wzmiankę Warszawy, rzekł podniosłszy głowę:
"Pan Podkomorzy! Oj Wy! Pan zawsze ciekawy
O Bonaparta, zawsze Wam tam do Warszawy!
He! Ojczyzna! Ja nie szpieg, a po polsku umiem —
Ojczyzna! ja to czuję wszystko, ja rozumiem!
Wy Polaki, ja Ruski! teraz się nie bijem.
Jest armistycjum, to my razem jemy, pijem.
Często na uwanpostach nasz z Francuzem gada,
Pije wódkę — jak krzykną ura — kanonada.
Ruskie przysłowie: z kim się bije, tego lubię;
Gładź drużkę jak po duszy, a bij jak po szubie.
Ja mówię, będzie wojna u nas. Do majora Płuta,
Adjutant Sztabu przyjechał zawczora:
Gotować się do marszu! Pójdiem, czy pod Turka,
Czy na Francuza; oj ten Bonapart figurka!
Bez Suwarowa to on może nas wytuza.
U nas w pułku gadano, jak szli na Francuza,
Że Bonapart czarował: no, tak i Suwarów
Czarował tak były czary przeciw czarów.
Raz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta,
A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta
Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,
Dalej drzeć pazurami, a Suwarów w kuca.
Obaczcież co się stało w końcu z Bonaparta —"
Tu Ryków przerwał i jadł wtem, z potrawą czwartą
Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.

Weszła nowa osoba przystojna i młoda.
Jej zjawienie się nagłe, jej wzrost i uroda,
Jej ubiór, zwrócił oczu; wszyscy ją witali:
Prócz Tadeusza, widać że ją wszyscy znali.
Kibić miała wysmukłą, kształtną, pierś powabną,
Suknię materyalną, różową, jedwabną,
Gors wycięty, kołnierzyk z koronek, rękawki
Krótkie: w ręku kręciła wachlarz dla zabawki —
Bo nie było gorąco —wachlarz pozłocisty
Powiewając, rozlewał deszcz iskier rzęcisty.
Głowa do włosów, włosy pozwijane w kręgi,
W pukle, i przeplatane różowemi wstęgi:
Pośród nich brylant, niby zakryty od oczu,
Świecił się jako gwiazda z komety warkoczu:
Słowem, ubiór galowy; szeptali nie jedni,
Że zbyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni
Nóżek, choć suknia krótka, oko nie zobaczy,
Bo biegła bardzo szybko: suwała się raczej
Jako osóbki, które na trzy-królskie święta
Przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta.
Biegła, i wszystkich lekkim witając ukłonem.
Chciała usiąść na miejscu sobie zostawionem.
Trudno było: bo krzeseł dla gości nie stało,
Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało —
Trzeba było rząd ruszyć lub ławę przeszkoczyć.
Zręcznie między dwie ławy umiała się wtłoczyć,
A potem, między rzędem siedzących i stołem,
Jak bilardowa kula toczyła się kołem.
W biegu, dotknęła blisko naszego młodziana:
Uczepiwszy falbaną o czyjeś kolana,
Pośliznęła się nieco, i w tem rotargnieniu
Na pana Tadeusza wsparła się ramieniu.
Przeprosiwszy go grzecznie, na miejscu swem siadła
Pomiędzy nim i stryjem, ale nic nie jadła:
Tylko się wachlowała, to wachlarza trzonek
Kręciła, to kołnierzyk z brabanckich koronek
Poprawiała, to lekkiem dotknięciem się ręki
Muskała włosów pukle i wstąg jasnych pęki.

Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.
Tymczasem, w końcu stoła, najprzód ciche szmery,
A potem się zaczęły wpół-głośne rozmowy:
Mężczyźni rozsądzali swe dzisiejsze łowy.
Assesora z Rejentem wzmogła się uparta,
Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta,
Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił
I utrzymywał, że on zająca pochwycił:
Assesor zaś dowodził na złość Rejentowi,
Że ta chwała należy chartu Sokołowi.
Pytano zdania innych; więc wszyscy do koła
Brali stronę Kusego albo też Sokoła —
Ci znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.
Sędzia na drugim końcu do nowej sąsiadki
Rzekł półgłosem: "Przepraszam, musieliśmy siadać,
Nie podobna wieczerzy na później odkładać:
Goście głodni, chodzili daleko na pole —
Myślałem, że dziś z nami nie będziesz przy stole."
To rzekłszy, z Podkomorzym, przy pełnym kielichu,
O politycznych sprawach rozmawiał po cichu.

Gdy tak były zajęte stołu strony obie,
Tadeusz przyglądał się nieznanej osobie,.
Przypomniał, że za pierwszem na miejscu wejrzeniem
Odgadnął zaraz, czyjem miało być siedzeniem
Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie:
Więc było przeznaczono, by przy jego boku
Usiadła owa piękność, widziana w pomroku!
Wprawdzie, zdała się teraz wzrostem dorodniejsza.
Bo ubrana, a ubiór powiększa i zmiejsza.
I włos u tamtej widział krótki, jasnozłoty,
A u tej krucze długie zwijały się sploty?
Kolor musiał pochodzić od słońca promieni,
Któremi przy zachodzie wszystko się czerwieni.
Twarzy wówczas nie dostrzegł, nazbyt rychło znikła:
Ale myśl, twarz nadobną odgadywać zwykła,. —
Myślił, że pewnie miała czarniutkie oczęta,
Białą twarz, usta kraśne jak wiśnie bliźnięta:
U tej znalazł podobne oczy, usta, lica.
W wieku możeby była największa różnica:
Ogrodniczka dziewczynką zdawała się małą,
A Pani ta niewiasta, już w latach dojrzałą:
Lecz młodzież o piękności metrykę nie pyta,
Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobieta —
Chłopcowi każda piękność zda się rówiennicą,
A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Tadeusz, chociaż liczył lat blisko dwadzieścia,
I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkiem mieście
Miał za dozorcę księdza, który go pilnował
I w dawnej surowości prawidłach wychował.
Tedeusz zatem przywiózł w strony swe rodzinne
Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne,
Ale razem niemałą chętkę do swawoli.
Zgóry już robił projekt, że sobie pozwoli
Używać na wsi długo wzbronionej swobody:
Wiedział, że był przystojny, czuł się rzeski, młody,
A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie.
Nazywał się Soplica: wszyscy Soplicowie
Są jak wiadomo, krzepcy, otyli i silni, —
Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni.

Tadeusz się od przodków swoich nie odrodził.
Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził,
Tępy nie był, lecz mało w naukach postąpił,
Choć stryj na wychowanie niczego nie skąpił;
On wolał z flinty strzelać, albo szablą robić.
Wiedział, że go myślano do wojska sposobić,
Że ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;
Ustawicznie do bębna tęsknił, siedząc w szkole.
Ale stryj nagle pierwsze zamiary odmienił,
Kazał aby przyjechał i aby się żenił
I objął gospodarstwo; przyrzekł na początek
Dać małą wieś, a potem, cały swój majątek.

Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety
Ściągnęły wzrok sąsiadki, uważnej kobiety.
Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,
Jego ramiona silne, jego pierś szeroką,
I w twarz spojrzała, z której wytryskał rumieniec,
Ilekroć z jej oczyma spotkał się młodzieniec:
Bo z pierwszej lękliwości całkiem już ochłonął,
I patrzył wzrokiem śmiałym, w którym ogień płonął.
Również patrzyła ona: i cztery źrenice
Gorzały przeciw sobie, jak roratne świece.

Pierwsza z nim po francuzku zaczęła rozmowę;
Wracał z miasta, ze szkoły: więc o książki nowe,
O autorów pytała Tadeusza zdania,
I ze zdań wyciągała na nowo pytania.
Cóż, gdy potem zaczęła mówić o malarstwie,
O muzyce, o tańcach, nawet o rzeźbiarstwie.
Dowiodła, że zna równie pędzel, nuty, druki;
Aż osłupiał Tadeusz na tyle nauki!
Lękał się, by nie został pośmiewiska celem.
I jąkał się jak żaczek przed nauczycielem.
Szczęściem, że nauczyciel ładny i nie srogi;
Odgadnęła sąsiadka powód jego trwogi,
Wszczęła rzecz o mniej trudnych i mądrych przedmiotach,
O wiejskiego pożycia nudach i kłopotach,
I jak bawić się trzeba, i jak czas podzielić,
By życie uprzyjemnić a wieś rozweselić.
Tadeusz odpowiadał śmielej, szła rzecz dalej,
W pół godziny już byli z sobą poufali:
Zaczęli nawet małe żarciki i sprzeczki.
W końcu, stawiła przed nim trzy z chleba gałeczki.
Trzy osoby na wybór; wziął najbliższą sobie —
Podkomorzanki na to zmarszczyły się obie —
Sąsiadka zaśmiała się, lecz nic powiedziała,
Kogo owa szczęśliwa gałka oznaczała.

Inaczej bawiono się w drugim końcu stoła:
Bo tam, wzmogłszy się nagle, stronnicy Sokoła
Na partyę Kusego bez litości wsiedli.
Spór był wielki, już potraw ostatnich nie jedli;
Stojąc i pijąc obie kłóciły się strony,
A najstraszniej Pan Rejent był zacietrzewiony:
Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoję tokował,
I gestami ją bardzo dobitnie malował. —
Był dawniej adwokatem Pan Rejent Bolesta,
Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta. —
Teraz ręce przy boku miał, wtył wygiął łokcie,
Z pod ramion wytknął palce i długie paznokcie,
Przedstawiając dwa smycze chartów tym obrazem:
Właśnie rzecz kończył. "Wyczha —puściliśmy razem
Ja i Assesor, razem, jakoby dwa kurki
Jednym palcem szczone o jednej dwururki:
Wyczha, poszli, a zając jak struna, smyk w pole,
Psy tuż — to mówiąc, ręce ciągnął wzdłuż po stole
I palcami ruch chartów przedziwnie udawał —
Psy tuż, i hec od lasu odsadzili kawał.
Sokoł syk naprzód; rączy pies lecz zagorzelec,
Wysadził się przed Kusym, o tyle, o palec:
Wiedziałem że spudłuje. Szarak, gracz nielada,
Czchał niby prosto w pole, zą nim psów gromada;
Gracz szarak! Skoro poczuł wszystkie charty w kupie,
Pstręk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,
A on znowu fajt w lewo, jak wytnie, dwa susy,
Psy za nim fajt na lewo: on w las, a mój Kusy
"Cap!" Tak krzycząc, Pan Rejent na stół pochylony,
Z palcami swemi zabiegł aż do drugiej strony,
I "Cap"! Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem:
Tadeusz i sąsiadka, tym głosu wybuchem
Znienacka przestraszeni właśnie w pół rozmowy,
Odstrychnęli od siebie mimowolnie głowy.
Jako wierzchołki drzewa powiązane społem,
Gdy je wicher rozerwie; i ręce pod stołem,
Blisko siebie leżące, wstecz nagle uciekły.
I dwie twarze w jeden się rumieniec oblekły.

Tadeusz, by nie zdrazić swego roztargnienia:
"Prawda, rzekł, mój Rejencie, prawda bez wątpienia,
Kusy piękny chart z kształtu jeśli równie chwytny—"
"Chwytny?—krzyknął Pan Rejent—móg pies faworytny
Żeby nie miał być chwytny? — "Więc Tadeusz znowu
Cieszył, się, że tak piękny pies nie ma narowu —
Żałował, że go tylko widział, idąc z lasu.
I że przymiotów jego poznać nie miał czasu.

Na to zadrżał Assesor, puścił z rąk kieliszek,
Utopił w Tadeusza wzrok jak bazyliszek.
Assesor mniej krzykliwy i mniej był ruchawy
Od Rejenta, szczuplejszy i mały z postawy,
Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku,
Bo powiadano o nim: ma żądło w języku:
Tak dowcipne żarciki umiał kompozować,
Iżby je w kalendarzu można wydrukować —
Wszystkie złośliwe — ostre. Dawniej człek dostatni,
Schedę ojca swojego i majątek bratni,
Wszystko strwonił, na wielkim figurując świecie:
Teraz wszedł w służbę rządu, by znaczyć w powiecie.
Lubił bardzo myślistwo, już to dla zabawy,
Już to że odgłos trąbki i widok obławy
Przypominał mu jego lata młodociane,
Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane.
Teraz mu z całej psiarni dwa charty zostały,
I jeszcze z tych jednemu chciano przeczyć chwały!
Więc zbliżył się, i zwolna gładząc faworyty*)
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:
"Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu,
Ogon też znacznie chartom pomaga do pędu:
O Pan kusość uważasz za dowód dobroci?
Zresztą, zdać się możemy na sąd Pańskiej cioci.
Choć Pani Telimena mieszkała w stolicy
I bawi się niedawno w naszej okolicy,
Lepiej zna się na łowach niż myśliwi młodzi.
Tak to nauka sama z latami przychodzi."

Tadeusz, na którego niespodzianie spadał,
Grom taki, wstał zmięszany, chwilę nic nie gadał,
Lecz patrzał na rywala coraz straszniej, srożej —
Wtem, wielkim szczęściem, dwakroć kichnął Podkomorzy.
"Wiwat!" krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił
I zwolna w tabakierkę palcami zadzwonił.
Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,
A w środku jej był portret króla Stanisława —
Ojcu Podkomorzego sam król ją darował,
Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował:
Gdy w nią dzwonił, znak dawał, że miał głos zabierać.
Umilkli wszyscy i ust nie śmieli otwierać.
On rzekł: "Wielmożni Szlachta, Bracia Dobrodzieje!
Forum myśliwskiem tylko są łąki i knieje:
Więc ja w domu podobnych spraw nie decyduję,
I posiedzenie nasze na jutro solwuję,
I dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę.
Woźny! odwołaj sprawę, na jutro na pole.
Jutro i Hrabia z całem myślistwem tu jedzie,
I Waszeć z nami ruszysz, Sędzio mój sąsiedzie,
I Pani Telimena i Panny i Panie,
Słowem, zrobim na urząd wielkie polowanie;
I Wojski towarzystwa nam tegoż nie odmówi."
To mówiąc, tabakierkę podawał starcowi.

Wojski na ostrym końcu śród myśliwych siedział;
Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział,
Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,
Bo nikt lepiej nad niego nie znał polowania.
On milczał, szczyptę wziętą z tabakiery ważył
W palcach, i długo dumał nim ją w końcu zażył;
Kichnął, aż cała izba rozległa się echem,
I potrząsając głową, rzekł z gorzkim uśmiechem:
A jak mnie to starego i smuci i dziwi!
Cóżby to o tem starzy mówili myśliwi,
Widząc, że w tylu szlachty, w tylu panów gronie,
Mają sądzić się spory o charcim ogonie?
Cóżby rzekł na to stary Rejtan, gdyby ożył?
Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!
Coby rzekł wojewoda Niesłołowski stary,
Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,
I dwiestu strzelców trzyma obyczajem pańskim,
I ma sto wozów sieci w zamku Worończańskim?
A od tylu lat siedzi jak mnich we swym dworze;
Nikt go na polowanie uprosić nie może —
Białopiotrowiczowi samemu odmówił!
Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?
Piękna byłaby sława, ażeby Pan taki,
Wedle dzisiejszej mody, jeździł na szaraki!
Za moich panie czasów, w języku strzeleckim,
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk — nazwan był zwierzem szlacheckiem,
A zwierzę nie mając kłów, rogów, pazurów,
Zostawiono dla płatnych sług i dworskich ciurów.
Żaden Pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki
Strzelby, którą shańbiono sypiąc w nią śrót cieńki!
Trzymano wprawdzie chartów: bo z łowów wracając,
Trafia się, z pod konia mknie się biedak zając;
Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smyczne,
I na konikach małe goniły panicze
Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie
Ledwie raczyli widzieć, cóż kłócić się o nie!
Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy
Odwołać swe rozkazy, i niech mi wybaczy,
Że nie mogę na takie jechać polowanie,
I nigdy na niem noga moja nie postanie!
Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha
Żaden za zającami nie jeździł Hreczecha."

Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył.
Wstano od stołu. Pierwszy Podkomorzy ruszył:
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy —
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;
Za nim szedł kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie.
Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,
Tadeusz Telimenie, Assesor Krajczance,
A pan Rejent na końcu Wojskiej Hreczoszance,

Tadeusz z kilku gośćmi poszedł do stodoły,
A czuł się pomięszany, zły i nie wesoły.
Rozbierał myślą wszystkie dzisiejsze wypadki
Spotkanie się, wieczerzę przy boku sąsiadki;
A szczególniej mu słowo "ciocia" koło ucha
Brzęczało ciągle, jako naprzykrzona mucha.
Pragnąłby u Woźnego lepiej się wypytać
O Pannie Telimenie, lecz go nie mógł schwytać —
Wojskiego też nie widział: bo zaraz z wieczerzy
Wszyscy poszli za gośćmi jak sługom należy,
Urządzając we dworze izby do spoczynku.
Starsi i damy spały we dworskim budynku;
Młodzież Tadeuszowi prowadzić kazano,
W zastępstwie gospodarza, w stodołę na siano.

*) Potrzeba także wiedzieć, że on Telimenie
Nadskakiwał i niby kochał się szalenie;
Żałował więc, że dał się ułowić tak prędko:
Widać, że już na inną rybkę dybie z wędką.
Więc zbliżył się i zwolna gładząc faworyty
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:

"Sławną Akademię macie Państwo w Wilnie:
Lecz z katedry o chartach nauczano mylnie,
Inaczej sądzą o nich w Warszawie, w Krakowie,
I u nas na wsi. U nas jest stare przysłowie:

(Ciąg dalszy nastąpi).

GAZETA POLSKA W CHICAGO.

Oldest Polish Newspaper in the United States.

APPEARING EVERY THURSDAY.

ESTABLISHED 1873.

Represents the interests of nearly 2,000,000 Poles residing throughout the United States & Canada.

Subscription Two Dollar per Year.

RATES OF ADVERTISING:

ONE INCH	1 year	$45.00
	6 months	$26.25
	3 months	$15.00
	1 month	$6.00
	one time	$3.00
One line one time		75c
Reading Matter 40 cents per line of insertion.		

The *Gazeta Polska* read in all the States and Territories of the Union, in Canada, Mexico, Central America, South America, in Great Britain and Ireland, France, Germany, Austria, Servia, Switzerland, Turkey, in Asia, Africa and Australia, and in all the provinces of ancient Poland, is realy a *First Class Advertising Midium.*

All communications ought to be addressed:

W. DYNIEWICZ,
PUBLISHER "GAZETA POLSKA,"
532 Noble st., Chicago, Ill.

We have over 400 works of our own Publication and Edition, and Imported Books.

GAZETA POLSKA W CHICAGO.

Najstarsze czasopismo polskie w Stan. Zjedn.

Wychodzi we czwartek każdego tygodnia.

PRENUMERATA ROCZNA:

W Stanach Zjedn., Meksyku i Kanadzie $2.00
W Europie, Ameryce Środkowej i Południowej, Azyi, Afryce, Australii $3.00

POSZUKIWANIA krewnych i znajomych nie wynoszące jednego cala druku na jeden raz 50 centów, następnie połowę ceny.

POSZUKIWANIA na jeden raz jak i ogłoszenia o założeniu jakiego przedsiębiorstwa dla abonentów naprzód płatnych, bezpłatnie.

ABONENCI zmieniający pomieszkanie, powinni podać stary adres i dołączyć 10c (w znaczkach poczt.) na opłatę zmiany adresu.

PIENIĄDZE należy przesyłać przez Money Order, Express lub w liście registrowanym. Kwoty niższe od dolara można przesyłać w znaczkach pocztowych.

Rękopisów nie zwracamy.

Wszelkie listy i pieniądze adresować należy:

W. DYNIEWICZ,
532 Noble st., Chicago, Ill.

Pierwsza Księgarnia Polska w Ameryce posiada: *Książki sprowadzone z Europy, oraz przeszło 400 dzieł i dziełek własnego wydania i nakładu.*

TELEFON MONROE 1256

CHICAGO, 23-go LIPCA, 1903.

WSZYSTKIEGO PO ODROBINIE.

Sejm Związku Nar. Pol. zbliża się i gazety przychylne tej organizacyi omawiają dość obszernie sprawy, które mają być oddane pod obrady sejmu XV w Wilkesbarre.

Głównemi sprawami, któremi ma się zająć sejm XV są: Podział Związku na okręgi, podatek stopniowy i zbudowanie domu dla starców i kalek związkowych. Te trzy punkty wysunięto na pierwszy plan.

Podział Związku na okręgi jest rzeczą bardzo ryzykowną i jeżeli plan ten nie będzie opracowany umiejętnie, to przyszłość Związku jest zachwianą. Podział na okręgi ma na celu rozszerzenie agitacyi i zmiejszenie liczby delegatów na sejm. Dla agitacyi nie widzimy potrzeby podziału Związku na okręgi, gdyż to uskutecznić można za pomocą specyalnych agitatorów, jak to czynią inne organizycye amerykańskie. Podział znów Związek na okręgi wyborcze jest rzeczą bardzo trudną, choć w praktyce byłaby to rzecz bardzo dobra. Im bowiem więcej delegatów jedzie na sejm, tem trudniej jest przeprowadzić jaką rzecz, bo nie wszyscy ją rozumieją, a niektórzy zrozumieć nie chcą.

Zmiejszenie liczby delegatów oszczędziłoby wiele pieniędzy i ułatwiłoby sposób sejmowania. To rzecz bardzo ważna i nad nią związkowcy powinni się dobrze zastanowić.

Podatek stopniowy to najważniejsza rzecz, która im wcześniej będzie przeprowadzona, tem lepiej dla rozwoju Związku i jego przyszłości. Dotychczasowe płacenie podatków jest rzeczą niesłuszną, niepraktyczną i ryzykowną. Starzy Związkowcy obawiają się podatku stopniowego, a nie mają się czego obawiać, bo nic na tem nie tracą.

Podatek stopniowy stosownie do wieku liczy się od tego czasu, kiedy dany członek wstąpił do Związku, nie zaś od chwili wprowadzenia go w życie. Dotychczasowy jednakowy podatek bez względu na wiek wstępującego do Związku członka, jest poprostu zagrodzeniem wstępu do związku młodym ludziom, na których każdej organizacyi ubezpieczeniowej najwięcej zależy i związkowcom zależyć powinno.

Niejeden młody człowiek zabezpieczyłby się w Związku, gdy ma lat np. 22. Gdy weźmie ołówek do ręki i policzy sobie, że musi na równi z innymi w starszym wieku wstępującymi do Związku płacić te same podatki, to sobie pomyśli i wyciągnie taką sentencyę z tego:

Po co darmo wyrzucać pieniądze, gdy mogę się tak samo zabezpieczyć w Związek gdy będę miał jakie 35 lub 40 lat i te same będę miał przywileje i prawa do pośmiertnego, gdybym do Związku wstąpił mając lat 20.

Rozumowanie to jest zupełnie słuszne. Chcąc zatem wciągnąć do Związku młodych ludzi, należy przedewszystkiem zaprowadzić podatek stopniowy, to znaczy. że wstępujący do Związku będzie płacił od danej sumy zabezpieczenia podatek stosownie do tego, ile liczy lat gdy wstąpi do Związku.

Podatek stopniowy należy zatem zaprowadzić jak najprędzej w Związku, a zabezpieczy się przyszłość tej organizacyi.

Dom dla kalek i starców to rzecz podrzędna i zależy od woli ogółu związkowców. Kasa związkowa nie powinna pod tym względem, cierpieć. Jeżeli chcemy zbudować instytucyę dobroczynną, zbudujmy ją ze składek dobrowolnych, a nie z pieniędzy składanych na opłatę pośmiertnego. Wszystko to są rzeczy chwalebne i godne poparcia, ale dobro organizacyi powinno być zawsze na pierwszym planie.

Kto bada przebieg spraw związkowych, nie trudno mu będzie zauważyć, że często zdarzają się wypadki, iż członek przy wstępowaniu do związku podaje fałszywy swój wiek. Tak np. w tych dniach umarł pewien związkowiec, o którym przypadkowo przekonano się, że wstępując do Związku, podał się na aplikacyi o 25 lat młodszym niż był w rzeczywistości. Rząd Centralny zatrzymał wypłatę pośmiertnego za poradą swego adwokata.

Takich wypadków w każdej organizacyi jest podostatkiem, a w naszych polskich organizacyach, nie mających pod tym względem dostatecznej kontroli, jest ich chyba najwięcej. O tem nikt nie wątpi i wątpić nie powinien.

My z naszej strony radzilibyśmy porobić pewne obostrzenia przy egzaminowaniu członków przez doktorów. Zdarzają się bowiem wypadki, że człowiek stary lub chory podstawia inną osobę za siebie, która przy egzaminacyi lekarskiej okazuje się zupełnie zdrową i lekarz wystawia świadectwo, które upoważnia kandydata do przyjęcia go w szeregi związkowe.

Przedewszystkiem każdy kandydat powinien złożyć przysięgę na posiedzeniu danego towarzystwa, zanim zostaje przyjętym, że udając się z aplikacyą do lekarza poda prawdziwy wiek i nie zatai żadnej choroby. Ale nie na tem koniec. Ponieważ w każdem społeczeństwie znajdują się ludzie, którzy dla zysków osobistych gotowiby posunąć się nawet do zbrodni, przeto powinno się wyznaczyć pewne wynagrodzenie każdemu związkowcowi lub osobie godnej zaufanie za odkrycie takich członków, którzy podstępem dostali się do Związku, fałszywy podając wiek, ukrywając chorobę lub podstawiając do rewizyi lekarskiej inną osobę. Rozumie się, że także zeznanie musiałoby być poparte dowodami na których możnaby polegać.

Takie obostrzenie ustaw uchroniłoby Związek od wielu kłopotów i strat, bo kandydaci nie mający weddług ustaw prawa do zabezpieczenia się w Związku, obawiali by się, aby ich grzechy nie wyszły na jaw.

Nie obstawajmy przy tem, aby ten projekt nie miał być zmienionym i uproszczonym, ale byłoby pożądanem, aby w tym względzie coś przedsiewzięto. Nad tem należy się dobrze zastanowić, bo to rzecz bardzo ważna.

Sejm dwóch odłamów Związku Spiewaków Polskich w Ameryce odbędzie się we wrześniu. Na sejmie tym ma być ostatecznie załatwiona sprawa zlania się obydwóch odłamów związkowych w jeden, jak sobie tego życzą od dawna i śpiewacy i publiczność polska.

Niektóre jednostki samolubne dążą całą siłą do tego, aby nie dopuścić do zlania się śpiewaków w jeden związek. Aby zniechęcić śpiewaków, do zgody ludzie znani z przewrotu i złej woli trąbią na alarm i zaklinają śpiewaków na wszystko, aby rozpoczęli walkę bratobójczą między sobą i tem samem uśmiercili pieśń polską w Ameryce.

Każdemu z tych niecnych agitatorów powinien rząd pruski i moskiewski dać order czarnego orła, bo tak samo jak te dwa rządy i oni starają się wszelkiemi siłami przeszkodzić i zgnieść pieśń polską.

Spiewacy, — "unikajcie fałszywych proroków, którzy do was przychodzą w odzieniu owczem, a wewnątrz są wilkami drapieżnemi" — mówi nasz Zbawiciel. Wszak znacie ich z przeszłości ich. Gdy przybędziecie na sejm do Milwaukee, stańcie w zwartym szeregu i mając dobro pieśni na pierwszym planie, udowodnijcie burzycielom, że waszą gwiazdą przewodnią jest jeden naród polski, jedna pieśń polska i jeden związek śpiewaków polskich w Ameryce.

WIELKIE SWIĘTO.

Ostatnia poczta przynosi nam z Polski paczkę gazet, a w nich opisy uroczystości IV zlotu Sokołów we Lwowie, tak wzruszające, że trudno czytać je z okiem suchem i bez drżenia radości, która przebiegła cały nasz naród jak iskra elektryczna i orzeźwia obecnie i nas — daleko kolejami losów za morze odrzuconych.

Trudno nam wszystko powtarzać, bo na to całe nasze pismo byłoby za małe, ale podamy tu głównie momenty tej uroczystej chwili, jaką obchodziło Sokolstwo polskie na IV zlocie we Lwow dniach od 28 do 30 czerwca.

Na dworcu kolejowym.

Takich tłumów ogromnych, niezmierzonych i niezliczonych, jak te, które się zjawiły na dworcu kolejowym, jeszcze może Lwów nie widział. A wiedzieć trzeba, że deszcz padał, zrazu chwilami tylko, a potem ze zmierzchem począł siec drobniutkimi strugami, bez ustanku, wytwarzając wieczór chmurny, dżdżysty i błonisty, a ciemny i ponury.

Mimo to dworzec cały był w oblężeniu. Na peronie kilka tysięcy ludzi, tak że honorowej straży sokolej z trudnością tylko przyszło utrzymanie porządku, a a przed dworcem i na przyległych ulicach ścisk panował olbrzymi.

Wielkopolska.

A zapał wzrastał z każdą chwilą. Od miasta nadciągały wciąż świeże tłumy nie baczne na deszcz i niepogodę. Chwilami robiło się na dworcu tak rzewnie, szeroko i wzniośle, że mało brakło, a już ludzie całkiem sobie nieznajomi ściskać się wzajemnie poczęli, już rozgwarzył się taki rozgłos, taka uciecha, że ludzie chodzili, jakby promienni, jakby odmłodzeni jakoś rozjaśnieni. Więc zaludniły się sąsiedne dachy wyrostkami, więc cały dojazd kolejowy był pełny.

Chwila przychodziła rzadka, chwila wielkiej radości, tajemnego wzruszenia, chwila będąca wynikiem długiego czekania, serdecznej miłości, głębokiego współczucia.

Oddech się poprostu zapierał w tym tłumie, olbrzymim na myśl samą, że za kilka chwil już tylko, a staną we Lwowie... Wielkopolanie.

A każda chwila dłużyła się jakby w nieskończoność. Tęskny wzrok ustawicznie się zwracał w stronę zacnodu — przychodzili upragnieni goście, czy daleka nas jeszcze przestrzeń od nich oddziela.

Nareszcie. — Już dobrze szarzało, gdy na horyzoncie od strony zachodniej wykwitł słup dymu od lokomotywy. Na dworcu powstał ogromny gwar i wrzawa. Wszyscy biegać poczęli i nawoływać się okrzykiem radości i szczęścia:

—Przyjeżdżają!

Z hukiem stanął pociąg na dworcu. Lokomotywa w zieleń przybrana, a na niej maszynista w mundurze sokolim... Druh "Sokoł" rzadkich a drogich wioząc gości, przybrał szaty sokole na wielką uroczystość, na wielkie święto.

W tej chwili stała się rzecz, której ani opisać, ani opowiedzieć nie sposób. Trzebaby złotych na to liter, marmurowych tablic, trzebaby kopiec usypać pamiętny na wspomnienie tak wielkiego i wzniosłego zbratania, jakie w tej chwili nastąpiło.

Z krakowskiego pociągu wysypał się różnobarwny tłum. Bracia Krakowianie stawili się w liczbie imponującej. Ze sztandarami poszczególne gniazda, muzyka kopalń wielickich im towarzyszyła, a "Sokół" włościański z Bieńczyc, chłopcy rosłe i dzielne, w czerwonych krakuskach i barwnych kierezyach — pierwszy "Sokół" włościański, prawdziwą stanowił chlubę ziemi krakowskiej.

Powitano tę całą drużynę owacyjnie i serdecznie, ale natychmiast się oczy wszystkich w inną stronę zwróciły.

Z wagonów wysiadł oddział Wielkopolanów. Mężowie cisi, i karni, w szarych zwykłych, choć jednakiego kroju ubraniach, w czarnych okrągłych czapkach z daszkami.

Wysiedli z wagonów i w tej chwili stanęli w ordynku po czterech, a równocześnie w całym tym tysiącznym tłumie po prostu zawrzało i rozgorzał okrzyk radości, tak potężny i doniosły, że słychać go było daleko i szeroko, że rozbiegł się i chyba aż w chmurne niebiosy uderzył. Czapki sokole, kapelusze wyleciały w jednej chwili w powietrze, a ten zapał rósł, i rósł, a okrzyki się ciągle wzmagały, tak, że nareszcie znikło wszystko z przed oczu, i cielska wagonów i kontury budynku kolejowego, i wszystko, a pozostał ten jeden tylko oddział szarych mężów i jedno tylko przepotężne wołanie:

Czołem! bracia z Wielkopolski!

A oni milczeli dobrą chwilę. Tylko na twarzach, tylko w ich oczach, czytać było można wielkie wzruszenie.

Wśród tego przepotężnego krzyku była niema chwila wielkiego zbratania.

W tem się odezwał hymn "Sokoła". Tu bracia z Wielkopolski przemówili głosem zbiorowym i ziemię naszą i miasta nasze i nas wszystkich, powitali pieśnią, w której siła i odrodzenie narodu.

Wielkopolan przyjechało razem 85 z prezesem Związku posłem Chrzanowskim na czele. Każdy z nich trzymał bukiet kwiatów w drodze im w Przemyślu i w innych miastach ofiarowanych a dwu pierwszych, tuż za sztandarem związkowym, z którym przyjechali, niosło wielki wieniec z liści dębowych uwity, a z kart wizytowych złożone. We środku widniały herby Polski i napis "Braciom Wielkopolanom — Bracia Przemyślanie".

Wieniec ten ofiarowany przez młodzież szkół średnich miasta Przemyśla.

Wreszcie wśród ciągłych a z każdą chwilą rosnących okrzyków, ruszyli drodzy i najmilsi goście ku wyjściu. Po drodze witały ich rzędem ustawione Sokolice okrzykiem i czapkami białemi podniesionemi do góry. Przez cały korytarz wykrzykiwała młodzież szkół średnich, szpaler na ich przybycie tworząca, gromkimi głosy "Czołem" a kiedy wreszcie stanęli na placu przed dworcem, rozpętała się taka burza oklasów i okrzyków 'Czołem"!, "Niech żyją Wielkopolanie", że przez długą, długą chwilę zdawało się, że to grzmot taki olbrzymi wstrząsa ziemią.

Wielkopolanie ustawili się w środku a Sokoli lwowscy i prowincyonalni z prezesem drem Fiszerem na czele otoczyli ich zwartym kordonem.

W tej chwili odezwał się głos trąbki zwiastującej przybycie.

Goście z nad Wełtawy.

Przybyło ich z górą siedmiuset i kilkadziesiąt Sokolic z różnych miejscowości Czech i Moraw. Najsilniej była reprezentowana Praga. Skoro się wysypali z wagonów i uszykowali w poszczególne oddziały ze sztandarami, powitano ich znowu gromkim a tysiąckrotnym okrzykiem "Na zdar!".

Entuzyazm wzrastał z każdą chwilą, okrzyki potężniały, aż stały się wreszcie jak wielka wezbrana fala, hucząca głosem radości i szczęścia z posiadania tak drogich, tak serdecznych, a tak dalekich gości. Okazał się w tym serdecznym nastroju i zapale najlepiej wzajemny, wiekowy sojusz dwu bratnich a sąsiednich narodów, utrwaliła się czesko-polska zgoda na wieki.

A oni szli radośni i szczęśliwi rozpromienieni. Na powitalne okrzyki "na zdar" odwzajemniali się całem sercem i duszą okrzykiem "czołem". Widocznie sam wybór, sam kwiat swojego narodu nam Bracia nasi przysłali, bo wszyscy to byli mężowie silni i rośli, jakby na schwał. A może tam u nich wszyscy tacy w Czechach, w tem gnieździe Sokolstwa. Przybyli w imponującej liczbie. Cały pułk czeskich mężów przesunął się przed obliczem zgromadzonego Lwowa, ba kraju całego, a myśmy witali wszystkich, nieledwie każdego z osobna serdecznie i radośnie, jak braci pobratymców zawsze tak nam życzliwych i przyjaznych.

Powitanie w Filharmonii.

Około godziny 9-ej wieczorem wypełniła się olbrzymia sala lwowskiej Filharmonii aż do ostatniego miejsca. Cały parter obnażony z krzeseł zajęło polskie sokolstwo, loże zaś i wszystkie górne miejsca publiczność. Tak było tam pełno i ciasno jak w jakiejś olbrzymiej świątyni.

Na estradzie ustawili się kapela i chór sokoli, olbrzymi zasilony głosami ze wszystkich prawie gniazd związkowych, przed estradą zaś utworzyły "Sokolice" wielki krąg, przeznaczony dla gości czeskich, chorwackich i wielkopolskich.

Na salę poczęły napływać zastępy gości. Każdego z osobna zwłaszcza Czecha witano entuzyastycznie, oklaskami, gdy zaś weszli Wielkopolanie powitano ich jednogłośnym, a długotrwałym okrzykiem, przyczem muzyka zagrała tusz i jedną zwrotkę pieśni "Jeszcze Polska nie zginęła!"

Właściwa uroczystość powitalna rozpoczęła się kantatą "Gaude mater Polonia" Gorczyckiego odśpiewaną przez chór sokoli, poczem powitał gości imieniem miasta prezydent dr. Machałowski w następujące słowa:

Imieniem reprezentacyi i obywatelstwa król. stół. miasta Lwowa witam Cię serdecznie w naszych progach dzielna drużyno Sokola i witam sercem radości i miłości pełnem, witam słowami, które choć proste, oddają najlepiej uczucia nasze:

Gość w dom, Bóg w dom!

Witam was przedewszystkiem dzielni pobratymcy nasi z pięknej, szerokiej czeskiej ziemi, która prócz skarbów natury i przemysłu, ma skarb najdrożsy: lud dzielny, praw swych i obowiązków narodowych świadomy.

Witam Was, którzy od złotej Pragi ciągniecie do nas z naszem hasłem:

Równi z równymi, wolni z wolnymi, którzy przejęliście się naszemi ideałami, treszczącemi się w słowach: "Za wolność waszą i naszą".

A witając Was synów Czech i Moraw nie mogę nie wspomnieć z wdzięcznością o tej serdecznej gościnności, z jaką nas Polaków wita zawsze wasza złota Praga!

Witam was dalej drodzy nam goście z Chorwacyi, której losy żywo nas obchodzą, której z tego miejsca niech mi wolno będzie serdeczne przesłać pozdrowienie.

Tu wśród nas znajdziecie serca bratnie, które rozumieją i oceniają gorący Wasz patryotyzm i umiłowanie pięknej przeszłości Waszej. A teraz witam Was drodzy, ukochani bracia od Gniezna i Poznania, — choć Wy nie goście nasi, boście tu w domu u siebie, u swoich, boście bracią naszą, której szeroko otwieramy ramiona, którą gorąco tulimy do bijącego ze wzruszenia serca. Serdeczną krwią naszą chętnie byśmy się z Wami podzielili — jak się już dzielimy bolem i łzami, jak da Bóg dzielić będziemy tryumfem sprawiedliwości!

Witam wreszcie serdecznie wszystkich lubych gości z całego kraju naszego, którzy w poczuciu obowiązku, jaki idea sokola na nich wkłada, stanęli w szeregu karnie, ramię przy ramieniu!

Zacna praca, podjęta w imię szczytnych ideałów, musi wydać dobre i szlachetne owoce.

Taką pracę, podjęliście Wy, dla dobra społeczeństwa, kraju i Ojczyzny i dla tego Lwów przez moje usta przesela Wam serdeczne powitanie i woła:

"Bywajcie! Cześć Wam!

Czołem Druhowie"

Następnie zabrał głos prezes "Związku" sokolstwa dr. Ksawery Fischer i przemówił tymi słowami:

Na serdeczne, gorące, a tak wymowne powitanie Twoje panie Prezydencie odpowiadają wszyscy zebrani tu druhowie równie serdecznem i gorącem podziękowaniem.

Piękne miasto nasze, które było przez długie wieki przedmurzem Polski i strażnicą cywilizacyi, a dziś jest niegasnącem ogniskiem pracy narodowej, niech kwitnie i rozwija się dla dobra kraju i ojczyzny!

Niech jak lew na tarczy jego, zawsze gotowe do walki i pracy, spogląda śmiało i z wiarą w gwiazdę lepszego jutra, lepszej doli w dalekie przestworza błękitu, z których płynie, spłynąć musi królewski ptak nasz biały!

To lepsze jutro, ta lepsza dola ma dziś przyszłość tem bliższą, im większą i powszechniejszą staje się świadomość, że prawa należne każdemu narodowi zdobywa się nie płaczem i łaską postronną, ale wielkiem praw tych pożądaniem i wielką w zdobywaniu ich wiarą we własne siły, wielkiem tych sił skupieniem do celu jednego, wielką powszechną służbą obywatelską w dążeniu do tego celu.

Nam Sokołom wolno powiedzieć o sobie, że od nas wyszły wszystkie te hasła, które niezrozumiałe niedawno, idą dziś po wszystkich ziemiach polskich, niepowstrzymane w zwycięskim swym pochodzie.

Wiernej służbie tym hasłom zawdzięczamy piękny i niezwykły w stosunkach naszych rozwój sokolstwa polskiego. Dzięki tym hasłom stawiło się sokolstwo polskie tak licznie na wielki przegląd swojego dorobku i pracy, w hasłach a w tych czerpiemy otuchę, że idea nasza dotrze w zwycięskim pochodzie tam, gdzie dziś jeszcze nie jest oceniona należycie, lub, co gorsza, jest obcą!

Otucha ta wzrasta i potężnieje na ten oto widok tak wspaniałego dowodu życzliwości i przyjaźni pokrewnych nam organizacyi sokolich, które na zaproszenie nasze wysłały tak licznych świadków sędziów naszego dziś, tak życzliwego współpracowników naszego jutra!

Brak mi słów i siły, aby wyrazić z głębi serca imieniem Sołów polskich gorącą podziękę i cześć starym wypróbowanym druhom spadkobiercom obywatelskiej myśli Tyrsza i Fignera i dzielnym synom Chorwacyi, z którymi łączą nas niedawne, ale nie mniej serdeczne, na polu pracy sokolej zadzierżgnięte węzły.

Niechaj słowom moim doda mocy i serca starodawne, jędrne a zwięzłością swą wymowne powitanie nasze: Gość w dom Bóg w dom!

Do was drodzy, rodzeni bracia z nad Warty zwracam się na ostatku. Jesteście bowiem tak samo jak my u siebie. Ziemia, po której stąpacie teraz, jest taką samą wspólną nam ojczyzną, idącą z pokolenia w pokolenie, dziedzictwem od prawieków, jak ta, z której przybywacie do nas.

Pogodnych, jak my, wiarą w niespożytość naszą — przyciskam Was do piersi gorące i wspólnie z Wami wyciągam dłonie i otwieram serca do tych trzecich! (zabór rosyjski)

Dziś niema ich z nami. Zle mówię — są, ale tak, jak być im wolno, myślą i sercem! Wyczekują oni z otuchą tak samo, jak my, zwycięstwa drogiej naszej idei sokolej, w której cześć wołam z głębi serca: na zdar! zdravo! czołem!

Dr. Jan Pipich z Chrudimia, poseł na Sejm czeski i wiceprezes czesko-morawskiego związku "Sokołów". Postać to bardzo piękna i żwawa mimo siwych włosów. Mówiąc gestykuluje dr. Pipich bardzo żywo, a to słowom jego dodaje plastyki, tak, że mowa jego mimo iż była wygłoszona w języku czeskim, zrozumiana została przez zgromadzonych w całości.

Z ust prezydenta miasta i prezesa Związku sokolego, mówił dr. Pipich padły tu słowa serdecznego powitania dla narodu czeskiego, którego tutaj jesteśmy reprezentantami. Równie serdecznie i owacyjne przywitanie spotkało nas na dworcu kolejowym. Bratniemu nam narodowi polskiemu dziękujemy za te objawy życzliwości z całego serca.

Widzieliśmy tam różne warstwy waszego narodu, złączone w jednem uczuciu przyjaźni dla nas, patrzyliśmy na waszą młodzież, w której płonie ogień silny i potężny. Taka młodzież zjednoczona w jednej idei to zadatek lepszej przysłości, a my jej życzymy, aby z tej jedności odniosła piękność myśli, siłę i zdrowie.

W dalszym ciągu wyraził mowca swą radość, że narod polski tak hardo i twardo trwa przy idei sokolej, która jest tem samem, co idea swobody i wolności. Prawa do bytu narodowego trzeba się domagać, a domagać się go tylko w jedności, a jak u nas tylko w zgodzie czesko-polskiej.

Siła narodu jest w wolności — a wolności dobija się siłą. Lud czeski i polski chce wolności, swobody, droga mu ojczyzna stara, droga mowa i skarby przeszłości. My chcemy żywota, a drogą żywota jest praca sokolska.

My razem z Wami, razem z waszymi, braćmi z Wielkopolski, których siłę oporu przeciw nawale germańskiej i wielkie serce podziwiamy. "Niech żyje Polska"

Mowę dra Pipicha przyjęto burzą oklasków i okrzyków "na zdar", poczem na estradę wystąpił prezes "Sokoła" w Pradze dr. Scheiner i po krótkiem przemówieniu, przerwanem co chwila gromkimi oklaskami wręczył polskiemu "Związkowi" Sokołów, dar honorowy od Sokoła czeskiego. Dar Czechów wyobraża tablicę metalową. Widnieje na niej u góry kopia medalu zasług Sokolstwa czeskiego, a poniżej napis: "Sokolstwo Czeskie — Sokolstwu Polskiemu, 1903". Dar ten wykonał prof. akademii przemysł. Novak, projektował prof. Sucherdy w Pradze.

Skoro już oklaski ucichły nieco, odśpiewał chór sokoli wśród nieopisanego zapału zgromadzonych czeski hymn narodowy "Kde domów mój" i "Hej Slovane", a na estradę wystąpił druh Chorwat dr. Franyo Bucar.

Niosę wam pozdrowienie od bratnich chorwatów, mówił dr. Bucar, a w pozdrowieniu tem łączy się także Dalmacya, Bośnia, Hercegovina, Sławonia i wszystkie ludy południowo słowiańskie. My Sokół Chorwacki czujemy i myślimy razem z Polakami, a ta wzajemność chorwacko polska datuje się już od szesnastego wieku od czasów wspólnej walki z Turkami, którą opiewał poeta nasz Gundulicz a w pieśniach którego i na wasze czyny bohaterskie niepoślednie się znalazło miejsce. W dziewiętnastym wieku, gdy się zaczęła budzić nasza świadomość narodowa i polskie pieśni, do których skarbnicy sięgali nasi poeci, walną nam była pomocą. Dziś Sokolstwo spaja słowiańskie narody, a od bratniego Sokoła chorwackiego niosę Wam pozdrowienie i dar, który uczyniły chorwackie Sokolice.

Mowę drucha Bucara przyjęto głośnymi i długimi oklaskami i okrzykami "Ziwio!!", poczem chór chorwacki odspiewał chorwacki hymn ludowy "Liepa nasza domowina" o melodyi rzewnej i tęsknej, którą przyjęto z wielkim zapałem.

Dla Chorwatów.

Wstęga jedwabna trójbarwna: biało-czerwono-niebieska o złotych frędzlach, wręczona przez pana a Bucara, ma haftowany grubo złotem nakładany napis: "Poliskim Sokolian Braca Hrvaty 28 6 1903".

Piątym z kolei mowcą był Szwed podpułkownik Balck apostoł gimnastyki, który w języku francuskim wyraził przedewszystkiem żal, że nie może do nas przemówić w naszym rodzinnym języku, ale szczęśliwy się czuje że tu przybył i zachwycony jest widokiem uroczystości, jakiej nigdy w ży-

Koniec na str. następnej.

ciu nie widział. Przynosi Polakom od swej ojczyzny serdeczne pozdrowienie, a to co widział, napełnia go nadzieją, że doczekamy się kiedyś ziszczenia naszych ideałów. Zakończył wreszcie życzeniem powodzenia dla naszych prac patryotycznych.

Wreszcie wśród ogromego zapału i entuzyastycznie witany, zabrał imieniem Wielkopolan głos prezes tamtejszego "Związku Sokolego" poseł dr. Chrzanowski.

Gdyśmy przychodzili do was przed dziesięciu laty — mówił dr. Chrzanowski, mieliśmy tylko 10 innych gniazd sokolich, a w słowach wypowiadanych tutaj była może i nuta niespokoju, obawy o przyszłość, nuta, którąśmy się starali ukryć nie dopuszczaliśmy, aby sobie otuchy nie odbierać, a wam nie przynosić smutku. Zerwała się wtedy nad nami wichura i zdawało się, że nas złamie.

Dzisiaj przychodzimy w pośród tej samej burzy, ale już w imieniu siedemdziesięciu gniazd sokolich, powstałych właśnie za czasów tej burzy. — W słowach naszych nie będzie już dzisiaj obawy — będzie spokój, a może nawet, wybaczcie, i duma.

Kiedy przez 10 lat prosiliśmy was o dar otuchy i pokrzepienia, to dziś od was tego nie żądamy, ale owszem sami przynosimy wam słowo otuchy i słowa nadziei.

I jak się to stało? To w ogniu hartuje się żelazo a w ucisku twardnieje dusza. W tym ucisku nie jedno odleciało od nas ptasze błyskotliwe o krasych piórach ale zostało za to nasze ptactwo o silnym i niezłomnym locie. Oto "Sokół "nasz poszedł między lud w warstwy rzemieślnicze i robotnicze. I to są dzieje ostatnich lat 10, a w dziejach tych jest odblask dziejów także całej naszej dzielnicy. W imieniu tej prastarej piastowej dzielnicy, a dziś już powiedzieć możemy, że w imieniu Szlązka przynosimy dla waszych serc radość a dla waszego ducha wiarę w przyszłość.

Nie pamiętamy wcale takiego zapału, jaki ogarnęło to olbrzymie zgromadzenie po wysłuchaniu przemowy dr. Chrzanowskiego. Nastała chwila w całem tego słowa znaczeniu podniosła a wyrazem jej było choralne kilku tysięcy piersi odśpiewanie modlitwy "Boże coś Polskę".

Na boisku.

Trzydzieści tysięcy ludu. Cyfra mówi sama za siebie. Widowiska, takiego przykładu szukać chyba gdzieś w starym Rzymie, lub w wielkich zgromadzeniach ludów, w rodowej żyjącej wspólnocie.

Trzydzieści tysięcy ludu zajęło trybuny na boisku zlotowem, cały okręg za siatką drucianą i okoliczne wzgórza parku Łyczakowskiego. Wrażenie tak strasznego mrowiska tłumów nawet niemożliwe jest do stworzenia jakiego takiego pojęcia dla nieobecnych. Obecnym zaś pozostało tylko poczucie niesłychanego ogromu przytłaczającego samym pomrukiem, a w chwili egzaltacyi, w chwili podniecenia, entuzyazmu, okrzyków i oklasków, wrażenie burzy, rozpętania sił żywiołowych i głosu zbiorowego nie pojętej a tajemnej doniosłości.

A z tym tłumem harmonizowały łokciowej wysokości napisy na trybunach, flagi i ogromna przestrzeń samego boiska.

Co jednak zwracało uwagę, to, że w tym tłumie ogromnym na uczczenie Sokoła między przybyłem i znaleźli się także reprezentanci wojskowości z komendantem korpusu Fiedlerem i austryacki namiestnik Potocki. Czasy się zmieniają i polityka austryacka też.

Cwiczenia rozpoczęły się po godzinie 5-tej po południu.

Stanęło ich 42 z naczelnikiem Gładyszem i prezesem Preisem. Wyszli ze szatni wśród szpaleru, który im utworzył oddział Sokolic, a wśród okrzyku ogólnego i uniesienia. Nagle stanęli, — gdyż przeciwko nim stanęła pna Bilińska celem wygłoszenia przemowy powitalnej. Po kilku jednak wstępnych słowa ze wzruszenia ugrzęzły jej, oczy zaszły łzami, więc w milczeniu, które stoi za wiele przemówień, wręczyła im imieniem naszych Sokolic bukiet z żywych kwiatów. Wzruszenie Sokolicy udzieliło się także i całemu olbrzymiemu tłumowi, to też zapanowł zapał, który trudno nawet opisać.

Rozpoczęły się ćwiczenia w formie igrzysk i ćwiczeń laskami, w których Sokostwo wielkopolskie złożyło dowód, że dla idei sokolej wytrwale pracuje. Zastęp cały ustawił się w formie krzyża, którego środek tworzył oddziałek wykonujący piękne figurki piramidowe.

Równocześnie poszło hasło między polskie Sokoły. W jednej chwili znalazło się ich kilka tysięcy po za baryerami, otaczając zwartym w formie kwadratu szpalerem ćwiczących.

Po ukończeniu ćwiczeń stała się rzecz nadprogramowa, która jednak nastrojem i entuzyazmem stała się rzecz można — punktem kulminacyjnym całego zlotu. — Oto naprzód wystąpiło kilka drobnych chłopaczków, obrzucając Wielkopolan kwiatami, a potem cały ten kilkutysięczny zastęp Sokołów rzucił się wartkim pędem w stronę Wielkopolan. W jednej chwili podniesiono wszystkich, cały ćwiczący zastęp na rękach do góry, i wśród grzmiącego okrzyku wyniesiono aż do szatni.

Chwilą była takiego zapału i zbratania, że obecnym łzy stanęły w oczach, łzy czyste, radosne, które może choć w części przyszłość nam policzy na szali naszych nadziei.

Po ćwiczeniach i różnych uroczystościach odbyło się przedstawienie w teatrze miejskim, które zakończyło uroczysty nastrój zlotu sokolego. Na czele Sokołów wielkopolskich stali członkowie Związku Sokołów polskich z cesarstwa niemieckiego: poseł Bernard Chrzanowski, Teofil Preis, Karol Rzepecki i Wiktor Gładysz (naczelnik Związku), wszyscy trzej z Poznania, a nadto Stanisław Milewski ze Srody. Reprezentowane były gniazda: z Poznania i Sw. Łazarza, z Obornik, Srody, Gniezna, Ostrzeszowa, Kościana, Ostrowa, Pleszewa, Czempina, Wrocławia, Strzelna, Sremu, Bugu, Jeżyc, Wildzy, Mogilna, Kórnika, Gostynia, Leszna i Czarnkowa.

Sokoli polscy to przyszli żołnierze aszej wolności i dla tego emigracya polska w Ameryce powinna popierać sokolstwo i zakładać towarzystwa sokole.

Wiadomości Krajowe.

Z Kolonii Polskich.

MILWAUKEE, Wis., 16 lipca. — Smutnej pociechy doczekał się ze swej siedemnastoletniej córki Anny, Andrzej Wawrzyniakowski, robotnik, zamieszkały pod nr. 402 przy Lincoln avenue.

Anna, było to posłuszne i dobre dziewczę dopóki nie zakochała się w wdowcu, obarczonym dziećmi, a znacznie starszym od niej..Jak wiadomo, miłość jest ślepa, więc i Anna, nie bacząc na perswazye rodziny, wyrywała się z domu na schadzki ze swoim wdowcem. Zniecierpliwiony stary, gdy słowa jego były grochem na ścianę rzucanym, wziął się inaczej do dzieła i pannie mocno wygarbował skórę.

Obita dziewczyna za namową widocznie, podała skargę na rodziciela i wczoraj odbyła się sprawa. Wawrzyniakowski przyznał się do pobicia córki, lecz tłómaczył swój czyn nieposłuszeństwa dziewczęcia, która pomimo jego woli dalej prowadziła romans z owym wdowcem.

Sędzia Neelen wysłuchał żalów starego i nawet przyznał mu racyę do praktyczności jego rad córce, lecz powiedział mu, że powinien był obić porządnie wdowca, a nie młode dziewczę i skazał starego na $25 kary i koszta.

Wawrzyniakowski nie mogąc zapłacić kary, poszedł do więzienia musi przesiedzieć 60 dni w domu poprawy.

MENOMINEE, Mich., 16 lipca.—Fryderyk Zalewski, 17 letni chłopak, zatrudniony na farmie niedaleko miasta, utonął w rzece Menominee w pobliżu Chappy Rapids. Chłopak poszedł do rzeki aby się wykąpać. Powód tej nagłej śmierci niewiadomy. Prawdopodobnie chłopak dostał kurczy.

LA CROSSE, Wis., 16 lipca.—Julian Wolski zatrudniony u farmera Jakóba Senn, został przez tegoż fatalnie przebity żelaznemi widłami. Wolskiego stan jest groźny. Senn powiada, że działał we własnej obronie.

Wolski pokłócił się z Senn'em o zasługę według relacyi tego ostatniego, uzbrojony w widły, chciał nań napaść znienacka, gdy ten wyładowywał siano z woza. O zamiarze Wolskiego ostrzegła go żona, przyszło zatem do wymiany razów i Wolski został skaleczony.

BUFFALO, N. Y. 16 lipca.—Jan Bombocki, który koło Batavii pracował u farmera, zbierając groch, powracając w niedzielę do domu do swej rodziny, która tu mieszka w Buffalo, chciał wskoczyć na pociąg towarowy L. V. aby darmo się przejechać, przy tem jednak wpadł pod koła i został na śmierć przejechany.

Gubernator spoliczkowany.

LITTLE ROCK, Ak., 15 lipca.—W czasie debat pomiędzy gub. Jefferson Davis, a sędzią Carrol D.Wood, gubernator zaatakował najwyższy sąd. Sędzia zwrócił mu uwagę i nadmienił, że nie ścierpi dalszych insynuacyi. Gdy gubernator ponowił atak, sędzia zerwał się z siedzenia, doskoczył doń i wyciął mu policzek. Otrzeźwiony tą nauczką gubernator przeprosił sędziego za zniewagę.

Sądy doraźne.

SAVANAH, Ga., 15 lipca.—Tłum powiesił tu murzyna Ed. Claus, który miał dopuścić się brutalnego napadu na białą kobietę.

MAYSVILLE, Ky., 16 lipca.—Rozwścieklony tłum przemocą wdarł się w dniu wczorajszym do więzienia w Flemingsburg i wydostał ztamtąd William'a Thohcer, białego, który był skazany na całe życie więzienia, za morderstwo John'a Gordon popełnione rok temu. Tłum zebrał się w Mount Cramel, gdzie Gordon dawniej mieszkał i ztamtąd przybył do Flemnigsburg, a zabrawszy z więzienia Thochera pozwolił mu przed śmiercią się pomodlić, a następnie pół umarłego powiesił na słupie telegraficznym.

Thocher zabił Gordona w Foxport w kłótni, kilka miesięcy potrafił ukrywać się przed władzą, lecz później go złapano i zasądzono na całe życie. Wyrok ten nie podobał się motłochowi, który dając folgę bydlęcym instynktom, zabawił się w katów.

Brzydkie sprawy

NEW LONDON, Conn., 17 lipca.—Walenty Sobiech pokłócił się ze swą żoną Walentyną w swym domu pn. 6 John ul. Podczas sprzeczki uderzył ją czy kopnął tak silno w głowę, że za kilka godzin wyzionęła ducha.

Brutala osadzono w więzieniu pod kaucyą $100 i czeka go surowa kara.

Huragan.

STREATOR, Ill., 18 lipca. — Srogi cyklon szalał tu wczoraj popołudniu. Pięć osób straciło życie podczas burzy a przeszło 20 jest pokaleczonych. Straty zrządzone podają na $500,000.

Budynki, estrada, i inne urządzenia przygotowane na wyścigi koni, jakie tu mają odbyć się w przyszłym tygodniu, zostały kompletnie zniszczone. Nawet kołek u płotu nie pozostał na swem miejscu.

James Doyle, manażer terenu wyścigowego, zamieszkały w pobliżu, z żoną i synem został niebezpiecznie pokaleczony; jego drugi syn i kilku robotników zostało zabitych.

W pobliżu znajdująca się fabryka cukierków Staubra, gdzie 200 dziewcząt pracowało, została także zniszczona. Zapas cukierków zrujnowany. Na szczęście robotnice opuściły fabrykę na kilka minut przed katastrofą.

Przy kopalni Spring Hill huragan zniszczył wszystkie zabudowania; kilkunastu robotników jest mocno pokaleczonych.

MENDOTA, Ill., 18 lipca. — Nie opisana burza srożyła się w tutejszej miejscowości wczoraj. Cztery osoby straciły życie a wiele jest pokaleczonych. Zabici zostali dwaj bracia Schamel lat 13, 4. i dwie dziewczyny: Cora Boisdorf 15 i Ora Lundy lat 19.

PEORIA, Ill., 18 lipca.—dwie małe osady Emington i Cmapus zostały mocno uszkodzone przez wczorajszą burzę. W pierwszej miejscowości prawie wszystkie budynki zrujnowane a w drugiej, oprócz zniszczonych budynków jedna osoba śmierć poniosła. Straty ogromne.

Arcybiskup Katzer nie żyje.

FOND DU LAE, Wis., 21 lipca.—Arcybiskup Fryderyk Ksawery Katzer, umarł w tym samym dniu co papież Leon XIII, tj. wczoraj o godz. 8:40 wieczorem w sanitaryum św. Agnieszki. Pogrzeb odbędzie się w czwartek z katedry w Milwaukee Wis.

Zmarły dostojnik urodził się 2 lutego 1844 w górnej Austryi gdzie skończył początkowe szkoły. Do Ameryki przybył 19 maja 1864 i kończył dalsze studya w kolegium Benedyktynów w St. Vincent, Pa. Swięcenie kapłańskie otrzymał w grudniu 1866. W r. 1875 został jeneralnym wikarym w katedrze w Green Bay, Wis. Po śmierci biskupa Krautbaur, został jego następcą. Następcą jego ma być biskup Messner z Green Bay, Wis.

Nieszczęście.

MILWAUKEE, Wis., 20 lipca. Redaktora "Dziennika Milwauckiego" spotkało wielkie nieszczęście Synek jego 13-letni Władysław, spadł z woza i to tak nieszczęśliwie, że sobie uszkodził czaszkę i wśród wielkich boleści zakończył życie.

Państwu Kowalskim ślemy słowa współczucia.

Wiadomości Zagraniczne

Krwawe rozruchy.

ZAGRZEB, 16 lipca.— O rozruchach Chorwatów nadchodzą następujące szczegóły:

W Ludbregu wybuchła istotna rewolucya. Chłopi uderzyli na miasto ze wszystkich stron, a kilkudziesięciu uzbrojonych w strzelby pilnowało dróg, do miasta wiodących. Jeden oddział zrywał druty telegraficzne, wiodące do Warażdyna, inny otoczył domy madziarów i nie wypuścił żadnego z nich na ulicę. Reszta rozdzieliła się na 3 grupy, jedna uderzyła na kasę, będącą w rękach madziarów, druga i trzecia na różne budynki rządowe. Gmach kasy zniszczono aż do podwalin. Siekierami kraty i mury, kasy jednak pieniężnej nie tknięto i nie naruszono. Ruchawka rozpoczęła się wieczorem, a dopiero nad ranem udało się żołnierzom przerwać rozruchy i poskromić "buntowników." Najbliższego dnia ogłosił wiceban sąd doraźny nad Ludbregiem.

Ustanowienie sądu doraźnego nie podziałano wcale odstraszająco na ludność. Niepokój trwa dalej.— Urzędowo stwierdzono, że w Ludbregu jest 30 domów madziarskich zniszczonych. Ludność walczy widłami, siekierami i kamieniami, żołnierze salwami. Pierwszego dnia zabitych było 7, a ciężko rannych 43 osób. Ostatnich odwieziono do więzienia warażdyńskiego. W 2 jednak dniach następnych liczba więźniów z Ludbregu wynosiła 137 osób. Wieści rozchodzą się po ulicy o każdym wypadku w rozmiarach coraz większych i barwach czarniejszych i to powoduje coraz szerszy rozdmuch rewolucyjny.

W Kumowcu, oddalonym o 13 klm., od Ludbregu, uderzono w dzwony i około tysiąca ludności z bronią naj różnorodniejszą nawoływało się, by pójść do Ludbregu i Warażdynu i oswobodzić uwięzione ofiary. Zapewne ich gdzie oddziały wojska już wstrzymały.

Zapadł wyrok w sprawie 23 oskarżonych zaburzenia w Zapreszicu (gdzie poległ pierwszy bohater, chłop Paaricz). Jednego skazano na dwa lata, dwu na rok, jednego na 8 miesięcy, dwu na 5, dwu na 4, pięciu na 3, dwu na 2 miesiące i dwu na 6 tygodni więzienia. Sześciu uwolniono.

Powódź na Szlązku.

BERLIN, 17 lipca.—Ze Szląska nadchodzą coraz gorsze wiadomości. Według gazet szląskich, szkody wyrządzone przez powódź w całym Szląsku są ogromne; szczególnie ucierpiał Górny Szląsk, gdzie najstarsi ludzie nie pamiętają tak wielkiej powodzi, jak ostatnia.

Najwięcej ucierpiał powiat nowomiejski; nie ma tam teraz ani jednego mostu. Rzeka Prudnik zabrała przeszło sto domów; Ile osób zginęło, dotąd jeszcze nie wiadomo. Rzeka Odra wygląda jak wielkie jezioro; całe wsie i miasta stoją pod wodą.

Prezydenci Górnego i Dolnego Szląska wydali odezwę, prosząc o pomoc dla powodzian, których jest kilkanaście tysięcy. W wielu miastach utworzyły się komitety i posłano już odzież, sprzęty domowe i żywności. We Wrocławiu w jednym dniu zebrano blisko 100,000 marek. Kardynał Kopp dał 10,000 marek.

Niektórzy księża niemiecko-katoliccy głoszą, że to kara Boża za to że Polacy nie usłuchali kardynała Koppa w ostatnich wyborach. Wywołało to ponowne oburzenie wśród Polaków, bo szkody w niemieckich okolicach są większe aniżeli w polskich.

W Arnoldsdorf nie pozostał ani jeden dom. Na pagórku przy mieście znajował się cmentarz. Woda rozerwała pagórek, zabrała setki trumień z trupami. Trumny rozbiły się i trupy strasznie zanieczyściły powietrze. Obawiając się wybuchu jakiej zaraźliwej choroby.

We Wrocławiu jest dolna część miast zalana na 7 do 10 stóp. Rzeka jeszcze wzbiera.

Zabierają wyspy.

LONDYN, 17 lipca. — Według wiadomości nadesłanych z Azyi, okręty wojenne Stanów Zjednoczonych zajęły grupę wysp leżących na północ od wyspy Borneo. Wyspy te miały kiedyś należeć do archipelagu Filipińskiego i sułtan Sulu odstąpił je dla angielskiej spółki North Borneo w r. 1881 w celach handlowych. Anglia przywłaszczyła sobie te wyspy pod fałszywym protekstem i obecnie Ameryka zajęła je w swe posiadanie. Wysepki te są małe i jest ich siedm. Nie przedstawiają one wielkiej wartości, ale mają wielkie znaczenie strategiczne.

Rząd angielski zaambarasował się tą wiadomością i zażądał od rządu washingtońskiego wyjaśnienia w tym względzie. Ameryka twierdzi, że wyspy te należą do Filipin, a tem samem do Stanów Zjednoczonych.

Traktat podpisany.

HAWANA, 17 lipca. — Senat kubański podpisał traktat, mocą którego Stany Zjednoczone otrzymują na Kubie stacye węglowe dla floty.

Senatorzy wypowiedzieli kilka mów, w których oddali cześć i uznanie Stanom Zjednoczonym za uczciwą pomoc daną Kubańczykom w czasie walki o niepodległość. Gdyby nie Stany Zjednoczone—powiedział senator Sanguilly — nie byłoby rzeczypospolitej kubańskiej.

Petecya odrzucona.

WASHIGNTON, 17 lipca. — Minister spraw zagranicznych, Jan Hay, otrzymał od ambasadora amerykańskiego w Petersburgu zawiadomienie, że rząd rosyjski nie przyjmie petycyi żydów amerykańskich, którą ma zamiar wysłać do cara prezydent Roosevelt.

W obec wiadomości ministeryum spraw zagranicznych w Washingtonie postanowiono zaniechać wysyłkę petycyi żydowskiej do cara, nie chcąc sobie narażać Rosyi z którą wiążą Amerykę stosunki handlowe.

Kanał panamski.

COLON 17 lipca.—Prezydent Marogium przesłał depeszę do kongresu kolombijskiego, w której w gorących słowach zachęca posłów, ażeby dla rozwoju i podniesienia dobrobytu kraju, zgodzili się na podpisanie traktaku ze Stanami Zjednoczonemi, na przekopanie kanału panamskiego. Jeżeli Kongres nie skorzysta ze sposobności, ucierpi na tem cały kraj i stracimy na zawsze przyjaźń wielkiego narodu amerykańskiego, który nam może być bardzo potrzebnym w przyszłości. Nie chcę na siebie brać odpowiedzialności, za odrzucenie przez was, posłowie, tego ważnego traktatu, kończy swą odezwę prezydent Marogium.

COLON, 18 lipca.—Kongres kolombijski, po odezwie prezydenta zajął przyjazne stanowisko względem traktatu tak, że 44 posłów oświadczyło się za traktatem a 46 przeciw. Jest nadzieja, że traktat będzie ratyfikowany, zdaje się, że kongres zażąda nie 10 ale 25 milionów dolarów za odstąpienie pasu ziemi na kanał. To rzecz podrzędna, którą będzie można jakoś załatwić.

Więcej wysp dla Ameryki.

PARYŻ, 18 lipca.— Krążą tu pogłoski, że rząd francuski ma zamiar odstąpić Stanom Zjednoczonym grupę wysp Przyjacielskich, znajdujących się na oceanie Spokojnym na południe od wysp Hawai.

Obszar tych wysp wynosi 1520 mil kwadratowych i około 29,000 mieszkańców. Wiadomość ta nie jest jeszcze urzędowo potwierdzona.

OD WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO.

Jak przedstawiać się powinny pod względem narodowym, poszczególnie osady polskie w Ameryce. Wielu organizatorów osad federacyjnych z zadania swego wywięzuje się nieumiejętnie. Główną tego przyczyną zdaje się jest brak ideału. Jak pod względem narodowym powinna się przed stawiać dobrze zorganizowana a osada polska w Ameryce — oto pytanie, na które zwykle organizatorzy nasi nie umieją dać sobie odpowiedzi zadawalniającej i dla tego biorą się do rzeczy nieumiejętnej.

Chcąc udzielić im pomocy w zwalczaniu tej nieumiętności kreślimy następujące wyjaśnienie. Przypuszczamy, że skorzystać z nich, nie omieszkają.

Owóż, każda osada czyli parafia polska w Ameryce powinna tworzyć zbiorową jednostkę narodową, na kształt państewka lub małej rzeczy pospolitej, mającą wszelkie dane do swego zachowania i rozwoju narodowego. Miećby przedewszystkiem powinna przez siebie prawie wybrany zarząd narodowy, któryby czuwał nad jej zachowaniem i rozwojem narodowym tudzież repezentował ją w obec innych osad polskich jako też innonarodowców danej miejscowości. Członkami takich małych państewek, czyli właściwej obywatelami, mającymi prawo głosu powinniby być wszyscy pełnoletni Polacy i polki danej parafii, szczególnie zaś ci, którzy należą do towarzystwa lub organizacyi polskich.

Towarzystwa polskie jakiegobądź zakroju uznające religię rzymsko-katolicką za panującą w narodzie naszym, powinny należeć do osady, w której granicach się znajdują i mieć swych reprezentantów w zarządzie tejże.

Towarzystwom sfederowanym przyznaje się najzupełniejszy samorząd, atoli wymagać należy od nich, aby tak pracowały u siebie, iżby z nich polonia miescowa jak największe korzyści miała.

Wszelkie sprawy narodowe tyczące się ogółu osady, jak na przykład: obchody narodowe, utrzymanie czytelni i biblioteki dla niedorosłej młodzieży, popisy literackie dla tejże, należące do ogółu osady, powinny więc być omawiane i załatwiane nie pokątnie, jak to się w wielu miejscach praktykuje przez pewne tylko towarzystwa lub grupy, ale publicznie przez ogół osady bezpośrednio, lub pośrednio przez zarząd tejże. Towarzystwa lub grupy organizacyjne jakiekolwiekbądź, któreby w swej pracy narodowej usuwały się od pracy ogółu danej osady w ten sposób osłabiałyby solidarność narodową, należy uważać jako szkodliwe i niebezpieczne. Ich praca to brzydki egoizm — to samolubstwo, które dla społeczeństwa nigdy nic dobrego zdziałać nie jest w stanie.

W każdej osadzie powinna panować oprócz miłości Boga także prawdziwa i szczera miłość bliźniego, wypowiadająca się hasłem: "jeden za wszystkich a wszyscy za jednego."

Ze osady polskie w Ameryce na sposób powyżej kreślony zorganizowane nie są, to wszystkim wiadomo, że tak zorganizowanemi być powinny, każdy się na to zgodzić kto ma choć trochę praktycznego rozumu w głowie i pragnie, aby Polacy w Ameryce nie zginęli, lecz aby z każdym rokiem coraz większego znaczenia nabywali. I. Wydz. Wyk. Ks. K. Sztuczko, C. S. C. Sek. Chicago, Ill d. 17 lipca 1903. r.

Korespondencye.

NEW LONDON, Conn. — Szn. Redakcyo "Gazety Polskiej". Zarząd Tow. Tadeusza Kościuszki uprasza o zamieszczenie paru słów. Towarzystwo to założone 1go lutego 1903 roku, liczy 40 członków i bardzo pięknie się rozwija. Upraszamy zatem rodaków zamieszkałych w New London i okolicy, aby się z nami łączyli i jak najliczniej do naszego towarzystwa przystępowali.

Łączmy się wszyscy w towarzystwa a tym sposobem dojdziemy do znaczenia i wpływ sobie wyrobimy między obcymi nam narodami. Na zakończenie dodać muszę, że Towarzytwo składa wydawnictwu "Gazety Polskiej" za piękne wykończenie konstytucyi szczere podziękowanie.

Wszelkie korespondencye tyczące się tow. Tadeusza Kościuszkj, adreswać należy A. Zgleic, 9 John st., New London, Conn.

Olbrzymi most.

THEBES, Ill., 22 lipca.—Największy i najsztuczniejszy most budują obecnie przez rzekę Mississippi, między Thebes, Ill., i Gray Point, Mo. Długość jego będzie wynosiła 6½ mili, a koszta budowy $2,600,000. Plan budowy tego mostu wypracował Ralf Modżejewski, słynny w całych Stanach Zjednoczonych inżynier syn sławnej artystki, pani Heleny Modżejewskej, mieszkający w Chicago od 20 lat, gdy jego ojciec książe Bożenta został przez rząd rosyjski skazany na wygnanie. Ralf Modżejewski zrobił swego czasu plan olbrzymiego mostu w Memhpis i wielu innych.

Most w Thebes jest budowany kosztem korporacyi The Southern Illinois i Missouri Bridge Co. Most ten skróci drogę kolejową między Chicago i miastami na południowym zachodzie o wiele mil i ułatwi komunikacyę kolejową.

Budowa tego mostu jest szczytem sztuki nowoczesnej inżynieryi a gdy most zostanie ukończony, imię R. Modżejewskiego rozbrzmi nową sławą po całym świecie.

U lekarza.

"Panie konsyliarzu! dziecko spadło ze skrzyni i od tego czasu ciegiem nie domaga."

"Robiliście już co?"

"Tak, jak dziecko spadło, to zbiłem moją żonę."

KRWAWY POSIEW.
(W ROCZNICĘ WIOSNY NARODÓW).

Z krwi, co w bojach marcowych zakrzepła, z onej jutrzenki ludów, my wszyscy jesteśmy.

Lat tyle, — przebrzmiałych haseł echa umilkły już dawno, nowe boje nawet przeszły ludów siedliska... a jednak...

Dusza się rwie do chwil onych rewolucyi marcowej, co ze stosów barykad ulicznych zwiastowała ludów zbratanie. Czas to był taki złoty i wielki ta wiosna narodów, że w ślad ojców pójść by się chciało na barykady!

Ale nie ma barykad, ni wolnych sztandarów — ludzie nawet tamtejsi pomarli, a tylko na stole widma wspomnień nie własnych wirują... a tylko na stole jedna z pamiątek czasów ówczesnych — rocznik krakowskiej "Jutrzenki".

Było to pismo codzienne, wychodzące w r. 1848 w Krakowie pod redakcyą Aleksandra Szukiewicza. Po wypadkach marcowych zniesieniu cenzury, pism takich mnóstwo powstało w Galicyi, zaczęło się życie wielkie, słońcem wolności promienne. Wychodziła więc "Jutrzenka", organ partyi niezdecydowanych, ale o barwie szlachecko rewolucyjnej, tak jak większość przeważna polskiej szlachty ówczesnej, dziennik pławiący się w morzu słońca marcowego i konstytucyjnych wolności.

Wiosna ludów minęła, a z nią razem, pod tchnieniem reakcyi i "Jutrzenka" zagasła, jak tyle innych jej siostrzyc. Dzisiaj ona to tylko stos gazet (trojakiego formatu, bo trzykroć "Jutrzenka" kształt swój i wielkość zmieniała), plik wielki, na pół zbutwiały, mchem czasu zarosły.

Ale otworzyć jedną kartę i drugą, a buchnie z niej życie siłą nieprzepartą, szczęk oręża, gwar walki o wolność... aż dusza przylgnie do tych kart zbutwiałych, aż ogień z nich serce ogarnie płomieniem, z jedyną tylko refleksyą:

Co za czasy, co za czasy!

Ze szpalt "Jutrzenki" wybuchowo dobywa się siła, tak długo w sercach ludów tłumiona wszyskie wahania i drogi ówczesnej duszy rewolucyjnej jasno stają przed oczyma — dzisiejszy czytelnik "Jutrzenki" to tak jakby rok cały przeżył ówczesny, całą rewolucyę, w zadrukowany papier zaklętą.

Pierwszy numer "Jutrzenki" wyszedł dnia 21. marca r. 1848, a więc w kilka dni po wybuchu rewolucyi w Wiedniu. W jednej chwili nowa epoka dziejów powstała, Metternich ustąpił, dawny biurokratyczny porządek prawny legł w gruzach, a praw nowych, ani konstytucyi jeszcze nie było, tylko jej przeczucie bez określonych form prawnych, nawet bez ustawy drukowej. Więc też pierwszy i kilka następnych numerów "Jutrzenki" noszą na czele charakterystyczny napis: "Bez cenzury, przed ogłoszeniem praw o druku". Wolność prasy absolutna, niczem nie skrępowana, którą zaraz pierwszy wstępny artykuł wita entuzyastycznie i jakby nie dowierzając szczęściu wielkiemu:" więc już nam Ojczyzny nie trzeba nazywać krajem: języka ojczystego językiem krajowym! Boże wielki! dziękujemy Ci, my biedni dotąd literaci polscy, dziękujemy Ci ze łzami w oczach, na klęczkach, żeś nam doczekać dał tych złotych czasów..."

W następnych numerach chaos jeszcze i zamieszczenie. — Sypią się okólniki tymczasowe z podpisem do cesarza Ferdynanda, do innych dostojników, odezwy obywatelskie, powrót amnestyonowanych więźniów politycznych, a z tego chaosu i wrażeń wyłania się już w siódmym numerze jedna myśl i jedno uczucie: "Polska zmartwychwstaje!"

Trony zadrżały w swoich posadach. We Francyi, w Berlinie, we Włoszech rewolucya, pod Miłosławiem stoi wojsko polskie, na sejmie w Frankfurcie stawia deputowany Reh wniosek nagły o odbudowanie Polski. Berlińczycy czerwono-białe kokardy przypięli, a wśród niemieckiej pieśni: "Noch ist Polen nicht verloren" spływa na widownię Europy widmo Polski męczennicy, a ludy przed tym blaskiem klękają, czyste ludy, święta rewolucya.

I odtąd "kwestya polska" nie schodzi ze szpalt "Jutrzenki", a za nią kwestya druga uwłaszczenia włościan, a dalej usunięcie biurokracyi austryackiej, i na której świeże jeszcze krew rzezi z roku 1846.

W tem trzask bomb i granatów, — to biurokraci z wojskiem poczęli konspirować przeciwko rządowi konstytucyjnemu. Dnia 26. kwietnia generał Castiglione przez dwie godziny bombardował Kraków, kilkadziesiąt ludzi padło na ulicach, "Jutrzenka" przestała wychodzić.

Przyszedł na to patent konstytucyjny cesarza Ferdynanda, wraz ze stanem wyjątkowym dla Krakowa.

I już wtedy robak zgnilizny młodą toczyć począł konstytucyę. Jeszcze wprawdzie we Lwowie i po miastach większych mnożą się gwardye narodowe, związki obywatelskie ale już "Jutrzenka" która po przerwie na nowo zaczyna wychodzić, coraz to częściej opisuje gwałty żołnierskie, biurokracya głowę podnosi i znowu jej tajne knowania wśród ludu wiejskiego wywołują widmo krwawej rzezi.

Wśród takiego nastroju przechodzą pierwsze wybory do parlamentu przy słabym udziale ludności. W samym Lwowie głosowało wszystkiego 232 osób, wybierając Floryana Ziemiałkowskiego, Maryana Dylewskiego i Leszka hr. Borkowskiego, w wielu mniejszych miejscowościach przy urnie wyborczej nikt się nie jawił.

Nawet amnestyi cesarskiej nie szanowała biurokracya. Górala z Chochołowa, Jana Sterculа, znanego z wypadków r. 1846, którego w czasie ogólnej amnestyi wypuszczono na wolność, teraz znowu aresztowano i w kajdanach sprowadzono do Krakowa; komisarz Bassler w Tarnowie na nowo wprowadził cenzurę, deptano prawa zasadnicze, słowem, jak się wyraża "Jutrzenka": "przywykli do samowolności i gwałtów urzędnicy, wzięli reskrypt ministeryalny za utwór jakiego młodego, wiedeńskiego poety i traktowali go, jak się w Austryi traktuje poezyę, ze śmiechem i pogardą".

W urzędowej "Gazecie lwowskiej" pojawiały się artykuły, pisane przez wojskowych, z tych artykułów jeden p. t. "Chłop trzyma z nami", podpisany przez "sztabsoficera", wywołał dłuższą polemikę w "Jutrzence" i innych pismach ówczesnych.

Równocześnie oddawano masami młodzież polską, pochodzącą z Królestwa, w ręce władz rosyjskich na męczeństwo i Sybir. Plama to na ówczesnej biurokracyi obok rzezi r. 1846 najstraszniejsza.

"Jutrzenka" czyni z tego powodu bardzo ciężkie zarzuty hrabiemu Agenorowi Gołuchowskiemu, stojącemu na czele prezydyum krajowego. Oskarża go, iż wydał polecenie, do krajshauptmanów, aby paraliżowali działalność sądów pokoju. Poczynało się do nich garnąć włościaństwo, więc "urzędy cyrkularne straciłyby sposobność utrzymywania go w ciągłej nienawiści do Polski".

Pisze dalej "Jutrzenka", co następuje: "Pan hrabia Gołuchowski w swoim rozkazie z dnia 24 czerwca, 1848 r. do l. 8575, każe każdego, kto nie może wykazać się, że ma paszport do Galicyi i że mu tu bawić wolno, natychmiast transportem za granicę oddać w ręce Rosyi. Obawia się jedynie, aby Rosya ich przyjąć nie chciała, więc każe spisywać konstytuta jasne i dowodne aby bez wszelkiej wątpliwości ich przyjmowano. Sumienniejsi od pana prezydenta, niektórzy krajshauptmany, po odebranym tym rozkazie przestrzegali naszych tułaczy dawniejszych, aby do Lwowa się udawali i tam siedzieli, bo tam nie będzie śmiał pan prezydent ich schwytać".

Nawiązał nawet, jak powiada "Jutrzenka", hr. Agenor Gołuchowski stosunki z ówczesnym gubernatorem Warszawy, okrutnym ks. Paszkiewiczem, aby ten ułatwiał odbiór emigrantów na granicy.

W czasie tym zmieniła się już "Jutrzenka" na wielki dziennik polityczny, a wiadomości było tyle, że co drugi dzień prawie okazywała się potrzeba wydawania nadzwyczajnego dodatku. Wojna we Włoszech, komuna w Paryżu, podziemne wiadomości o rewolucyi w Petersburgu, ruch w księstwach naddunajskich, zwycięstwa Radetzky'ego, powstanie na Węgrzech, wszystko to wytwarzało gorączkę, atmosferę przesyconą elektrycznością.

A wśród tych wiadomości urasta nagle nazwisko bana Kroacyi, Jellaczica, w kształty potworne nieledwie i fantastyczne. Wszyscy o nim mówią, nazwisko jego nadzieją przepełnia, a później strachem ogromnym, o ruchach wojsk jego i sojuszach fantastyczne biegną legendy. Kim był Jellaczic? Reprezentantem niby dążeń i postulatów ludów słowiańskich w Austryi, a równocześnie 700 Kroatów jego zapełniło pod Wiedniem nurty Dunaju, niby "czerwone bałwany". Grozą rewolucyi był ten Jellaczic, postrachem jej i jej katem zarazem, wtenczas kiedy wspólnie z Windischgraetzem Wiednia dobywał.

Nazwisko jego ze zgrozą wspomina "Jutrzenka", śledząca z gorączką przebieg oblężenia wiedeńskiego. Całe kolumny wiadomości różnych o rewolucyi wiedeńskiej przynosi swoim czytelnikom. Wiedeń upadł — nie! trzyma się jeszcze — gwardya narodowa walczy, generał Bem kieruje armatami — barykady, Kroaci pokotem — Windischgraetz się cofa — w tem "Wiedeń zdał się na łaskę i niełaskę Windischgraetza", sejm przeniesiony do Kromieryża, a na drugi dzień suchy i krótki trzask karabinów: Robert Blum, Edward Jelowicki, Edward Preschlern i Juliusz Fraebel rozstrzelani —straszny Jellaczic tryumfuje!

Dnia 4. listopada 1848 r. wczesnym rankiem przyniósł do Krakowa kuryer wiadomość o bombardacyi Lwowa przez Hammersteina...

Medyolan, Kraków, Wiedeń, Praga i Lwów... "każdy miesiąc z półrocza konstytucyjnej Austryi naznaczony jest krwawą plamą" — woła "Jutrzenka", a głos jej cichnie i niknie — jak ta zorza — wiosna narodów!

Fr. Jaworski.

DLACZEGO SIĘ OŻENIŁ.

Francuski literat Aleksander Degaston, który podczas zaręczyn zamordowanego króla serbskiego, miał sposobność uzyskać audyencyę w Konaku, opisywał swego czasu następujące szczegóły rozmowy z oblubieńcami. Przypominają je teraz pisma francuskie.

"Zostałem przyjęty w buduarze — opowiada — król siedział przy boku swej narzeczonej. Podała mi rękę uprzejmie.

— Rada jestem, żeś pan tu przybył — rzekła — niechże ludzie dowiedzą się prawdy.

Narzeczeni usiedli obok siebie na niskiej otomanie i trzymając się za ręce wiedli ze mną rozmowę. Król był w ubraniu flanelowem, pani Draga w czarnej jedwabnej spodnicy i ślicznej bluzce różowej; w jej uszach na szyi i na palcach lśniły się perły i brylanty.

— Rzeczy tak stały — mówił król — zewsząd nalegano, abym się ożenił; każdy z ambasadorów i ministrów miał dla mnie jakąś "świetną partyę"; odrzuciłem wszelkie świetne propozycye bo uważam, że w sprawie tak doniosłej, jak małżeństwo, należy iść za głosem serca. Więc dla tego sam wybrałem sobie towarzyszkę życia. Mojem najgorętszem życzeniem jest, aby kobieta, którą kocham i szanuję (tu objął Dragę spojrzeniem rozkochanem) zasiadła obok mnie na tronie Serbii. Potrzebowałem żony, któraby mnie zrozumiała, któraby znała kraj i zechciała dzielić ze mną ciężkie trudy panowania.

— Tak, wiem, że czekają mnie trudności i przykrości — wtrąciła pani Draga, patrząc czule na oblubieńca,— ale mnie to nie zraża, mam dużo energii siły woli.

— Wierzaj mi pan — rzekł król — cały naród pochwala mój wybór; miałem tego liczne dowody. Ci i owi mówią, że uczyniłem krok szalony, nierozważny. Przeciwnie, namyślałem się długo i działam pod wpływem serca i zastanowienia.

Król opowiadał o ceremonii, która poprzedzała zaślubiny. "Ksiądz uroczyście przybrany, pytał mnie w cerkwi: czy mam wolną i nieprzymuszoną wolę pojąć panią Dragę za małżonkę; odpowiedziałem, że mam i że mój zamiar jest niezłomny, że spodziewam się szczęścia w tym związku, zadzierżgniętym nie tylko w imię własnych uczuć, ale i dla dobra kraju. Aleksander przy tych słowach objął wpół narzeczoną i pocałował ją."

W 40 ROCZNICĘ 1863—1903.

Już 22 arkszuy tej księgi pamiątkowej opuściło prasę, zawierające pracę autorów do litary O wyłącznie, dalsze zaś arkusze do 28 wyłącznie zawierające część litery są już w drodze.—

Cała książka opuści prasę przed 14 lipca b. r. i puszczoną będzie w handel księgarski i znacznem podniesieniem ceny....

W drodze prenumeraty kosztuje ona, wraz z przesyłką aż do tego czasu 2 kor. 40 gr. względnie 2 m. 10 pf. lub 2 fr. 70 gr. Przedpłatę jako też rozesłane w tym celu listy, przysyłać należy przed 14 lipca b. r. na ręce p. H. Czaplickiego starszego inżyniera Wydziału Krajowego we Lwowie.—

Aleksander Dumas (Ojciec).

Hrabia Monte-Christo,

Romans, przekład z francuskiego.

TOM VII.

(Ciag dalszy).

Kilka jeszcze skrzyżowało się uwag, których treścią było, iż rzeczywiście pokój, czerwonym adamaszkiem wybity, wygląda ponuro.

— Nieprawdaż? — zagadnął Monte-Christo — jak dziwaczo naprzykład wygląda to łóżko, co za ponury i krwawy odblask na niem! a te dwa portrety, pastelami robione, pobladłe od wilgoci! zdaje się jakby na ich ustach martwych i obłąkanym wzroku wyryty był ten wyraz: "widziałem".

Villefort posiniał, a pani Danglars upadła na szezląg, stojący przy kominku.

— Że też pani masz odwagę — rzekła pani de Villefort z uśmiechem — siadać na tym szezlągu, gdzie może popełnioną została zbrodnia.

Pani Danglars zerwała się natychmiast .

— To jeszcze nie wszystko — dodał Monte-Christo.

— A cóż jeszcze być może? — zapytał Debray, przed którego wzrokiem nie uszło wzruszenie pani Danglars.

— Ciekawa rzecz, co jeszcze, być może? — zapytał Danglars — bo ja dotąd, przyznam się państwu, nic wielkiego nie widzę; jakże pan sądzisz, panie Cawalcanti?

— Zapewne — odrzekł spytany — przecież w Pizie mamy także zamek Ugolina; w Ferrarze więzienie Tassa; a w Rimini pokój Franciszka de Paulo.

— Prawda ale nie macie tych małych schodów — podjął Monte-Christo, otwierając drzwi, ukryte w ścianie — spojrzyj pan i powiedz co ci się zdaje?

— A cóż to za ponure zagięcie w schodach? — rzekł Chateau Renaud z uśmiechem.

— Nie wiem, zkąd to pochodzi, ale — wtrącił Debray — cały dom ten wydaje mi się, jakby kirem odziany, być może, że to szklanka wina tak usposabia do melancholii.

Morrel od chwili, jak wspomniano o posagu Walentyny, przybrał wyraz smutku i nie wyrzekł ani słowa.

— Czy nie zdaje się państwu — rzekł Monte Christo — że tu jakiś Otello, albo ksiądz de Gange, schodząc krok po kroku, wsród ciemnej i burzliwej nocy po tych schodach, z fatalnym jakimś ciężarem, usiłuje ukryć go przed okiem ludzi, a nawet przed okiemBoga.

Pani Danglars, na pół omdlała, upadła na ręce Villeforta, który i sam potrzebował podpory.

— Cóż to pani jest na miłość Boga? — zawołał Debray — jakżeś pani pobladła!

— Co jej jest ? —rzekła pani de Villefort — łatwo zgadnąć. Pan hrabia de Monte-Christo opowiada straszliwe historye, bezwątpienia w tym celu, abyśmy poumierały ze strachu.

— Ależ tak jest — dorzucił Villefort w rzeczy samej, panie hrabio, przerażasz nasze damy.

— Co pani jest? — powtórzył z cicha Debray do pani Danglars.

—Nic, nic — odpowiedziała usiłując zebrać przytomność—potrzebuję świeżego powietrza i nic więcej.

—Może pani zejdziesz do ogrodu? — zapytał Debray, podając rękę pani Danglars i zbliżając się do schodów.

—O! nie, nie chcę, —odpowiedziała — już wolę tu pozostać.

— Czy rzeczywiście jest pani — spytał Monte-Christo —tak bardzo przerażona?

— Nie — panie — odpowiedziała pani Danglars — ale pan tak jaskrawo przedstawiasz rzeczy, iż nawet złudzenie zdaje się mieć pozór rzeczywistości.

— Czyż tak? — podjął Monte-Christo z uśmiechem — więc to jest tylko dzieło wyobraźni; ha! to wystawmy sobie raczej, że ten dom jest mieszkaniem dobrej i cnotliwej Maryi, albo że to łóżko z zasłoną purpurową podobne jest do owego łoża, które bogini Łucyna nawiedzała, lub wreszcie wyobraźmy sobie że te schody tajemnicze są przejściem, którędy powolnym krokiem aby niezakłócić snu pokrzepiającego chorą, przesuwa się doktor, albo mamka, albo że wreszcie sam ojciec, unoszący snem ukołysane dziecko.

Na to łagodne opowiadanie pani Danglars zamiast przyjść do przytomności, wydała nagle jęk i w tejże chwili zemdlała.

— Pani Danglars zasłabła—bąknął Villefort— możeby ją zanieść do powozu?

— A! co za szkoda — odrzekł Monte-Christo —zapomiałem z sobą flakonika?

— Ja mam — odezwała się pani Villefort.

I podała natychmiast gospodarzowi flakonik. napełniony czerwonym płynem, podobnym zupełnie do tego, którym hrabia tak szczęśliwie uratował Edwarda.

— Dziękuję pani — rzekł biorąc z rąk pani de Villefort flakonik.

— Zrobiłam podług pańskiego przepisu — szepnęła pani de Villefort.

—I udało się pani?

— Tak sądzę.

Panią Danglars przeniesiono do sąsiedniego pokoju.

Monte Christo wpuścił do ust jej jedną kroplę czerwonego płynu i pani Danglars przyszła do przytomności.

— A! co za okropny sen miałam!

Villefort ścisnął ją mocno za rękę, jakby jej chciał dać do zrozumienia, że to wcale nie był sen.

Posłano po pana Danglars, ale że był to człowiek nieusposobiony bynajmniej do odczuwania wrażeń poetyckich, poszedł więc do ogrodu gdzie go zastali pijącego kawę z panami Cawalcanti, ojcem i synem.

— Czy rzeczywiście tak bardzo przestraszyłem panią? — zapytał hrabia.

— O! nie panie, ale, jak pan wiesz, częstokroć odbieramy wrażenia, stosownie do tego, jak nasz umysł jest usposobiony.

Villefort znowu chciał wydobyć uśmiech na usta.

— W takiem usposobieniu, pojmujesz pan to dobrze — dodała — lada chimera, lada przypuszczenie dostateczne są...

— Jednakże — rzekł Monte-Christo— wierz mi pani albo nie, a ja zawsze będę trwal w tem przekonaniu, że tu w tym domu została popełniona zbrodnia.

— Miej się pan na baczności — odrzekła pani de Villefort — wszak mamy w naszem towarzystwie prokuratora królewskiego!

— A to bardzo dobrze — odpowiedział Monte-Christo — ponieważ tak się rzeczy składają, będę z nich korzystał i wniosę skargę.

— Skargę? — podchwycił Villefort.

— Tak jest, i to wobec świadków.

— Wszystko to bardzo zajmujące — wtrącił Debray — i jeżeli rzeczywiście występek został popełniony, to opowiadanie do strawności pomoże nam wybornie.

—Tak, tu cięży występek — wyrzekł Monte-Christo. — Przejdźcie, panowie, tędy; panie Villefort proszę z sobą; ażeby oskarżenie było ważne, powinno być uczynione przed odpowiednią władzą. Monte-Christo ujął za rękę Villeforta i jednocześnie panią Danglars i poprowadził prokuratora królewskiego aż pod jawor, gdzie gałęzie spuszczały cień najobfitszy.

Inni goście poszli za nimi.

— Otóż w tem miejscu rzekł, — uderzając nogą w ziemię — kazałem dla odświeżenia drzew tych dosyć starych, kopać i nawozić; i oto robotnicy moi, kopiąc, wykopali skrzynkę, albo raczej okucie od skrzynki, w której mieścił się skielet nowo narodzonego dziecka. Spodziewam się, że to już nie jest przywidzenie?

Monte-Christo uczuł iż ręka, pani Danglars sztywnieje, a pan Villefort drży konwulsyjnie.

— Dziecko nowonarodzone? — powtórzył Debray — tam do dyabła, rzecz jak widzę przybiera charakter poważny.

— A więc nie omyliłem się — dorzucił Chateau-Renaud — gdym utrzymywał przed chwilą, że domy mają także twarze i duszę, i że na ich zewnętrznej powierzchowności odbija się duch wewnętrzny. Dom ten smutno wyglądał, bo też w łonie jego odzywały się jęki, a jęki te odzywały się, bo zbrodnia spoczywała ukryta.

— Jakto?...któż to powiada, że zbrodnia została spełnioną?... — odezwał się Villefort, zdobywając się na resztę odwagi.

— Czyż to nie zbrodnia, skoro dziecko żywe zakopano w ogrodzie?...— zawołał Monte-Christo. — Jakże tedy, panie prokuratorze królewski, czyn pan taki nazywasz?....

— Ale któż to powiedział, że dziecko żywcem zostało zakopane?...

—Gdyby było umarło, dlaczegoż tu je zakopano?... wszakże ogród ten nie był cmentarzem?.

— Jakaż to we Francyi jest kara za dzieciobójstwo?...— zapytał naiwnie major Cawalcanti.

— Naturalnie ucięcie głowy i nic więcej — odpowiedział Danglars.

— Ucięcie głowy?... — podjął Cawalcanti.

— Podobno; czy tak, panie Villefort?... — spytał Monte-Christo.

— A tak, panie hrabio — odpowiedział prokurator tonem, w którym nie przebijała się ani iskra ludzkości.

Monte-Christo przekonał się, że obie osoby dla których ta scena była przygotowaną, znieśćby już więcej nie mogły, dlatego więc postanowił już na tem poprzestać.

— Ale, zapomniałem: czemuż panowie, — rzekł — nie piją kawy.

I poprowadził gości do stołu, zastawionego pośrodku trawnika.

— Przyznam ci się, panie hrabio — odezwała się pani Danglars —wstydzę się słabości mojej, ale te wszystkie straszliwe historye wzruszyły mię do głębi; pozwól pan chciałabym usiąść.

I padła na krzesło.

Monte-Christo od pani Danglars przeszedł do pani Villefort.

— Zdaje mi się, że pani Danglars jeszcze potrzebuje pani flakonika.

Zanim jednak pani de Villefort zbliżyła się do pani Danglars, prokurator królewski szepnął do ucha bankierowej:

— Muszę z panią pomówić.

— Kiedy?..

— Jutro.

— Gdzie?...

U mnie w biurze, w sali posłuchań, tam najbezpieczniej.

—Będę.

W tej chwili pani Villefort nadeszła.

— Dziękuję ci, moja przyjaciółko — rzekła pani Danglars, uśmiechając się — już mi lepiej, nie potrzebuję pomocy.

ROZDZIAŁ VII.

Żebrak.

Wieczór zapadał.

Pani de Villefort oświadczyła chęć powrotu do Paryża, czego nie śmiała objawić pani Danglars, pomimo widocznej słabości i cierpienia.

Na żądanie żony, pan de Villefort pierwszy dał znak do odjazdu.

Panią Danglars zaprosił do swego pojazdu aby żona w razie potrzeby mogła jej dać pomoc.

Pan Danglars zaś, zajęty przemysłową rozprawą, nadzwyczaj zajmującą, z panem Cawalcanti, nie zwracał uwagi na nic, co się działo w koło niego.

Monte-Christo, prosząc o flakonik pani Villefort, spostrzegł, że pan Villefort zbliżył się do pani Danglars; znając zaś położenie rzeczy, odgadł, co jej powiedział, chociaż było to tak cicho wyrzeczone, iż zaledwie pani Danglars sama mogła usłyszeć.

Nie sprzeciwiał się chęciom gości i pozwolił Morrelowi, Danglarsowi, Chateau-Renaud odjechać konno, a dwom paniom w powozie pana de Villefort; Danglars zaś, coraz bardziej zapalający się w rozmowie z starym Cawalcantim, zaprosił go do swego powozu.

Andrzej Cawalcanti wsiadł do swego faetonu który nań czekał przed bramą, i odjechał.

Młodzian przez cały czas obiadu bardzo mało mówił, choćby dlatego samego, że był dosyć rozsądnym i że bardzo naturalnie lękał się powiedzieć jakiej niedorzeczności w towarzystwie tak bogatych i potężnych gości, pomiędzy któremi wzrok jego osłupiały nie bez obawy spotykał zapewne prokuratora królewskiego.

Pan Danglars za jednym szybkim rzutem oka, zmierzywszy starego majora ze stojącym kołnierzem i bojaźliwego nieco jeszcze syna, i widząc dla nich wielką, uprzejmość ze strony hrabiego de Monte-Christo, wpadł na myśl, że stary Cawalcanti to jakiś Nabab, który przybył do Paryża, dla wykształcenia jedynaka syna w życiu światowem.

Przyjrzał się dobrze chociaż z nadzwyczajną grzecznością, ogromnemu dyamentowi, błyszczącemu na małym palcu majora, bo major jako człowiek rozsądny i doświadczony, z obawy, aby jaki wypadek nie spotkał jego pieniędzy, zamienił je na rzecz prawdziwej wartości.

W czasie obiadu, wypytywał nieustannie ojca i syna, wciąż pod różnemi pozorami, jaki rodzaj życia mają zamiar prowadzić; ojciec zaś i syn, uprzedzeni, iż u pana Danglar otworzono kredyt dla jednego na 48,000 franków jednorazowo, dla drugiego kredyt roczny na 50,000 liwrów, byli nadzwyczaj grzeczni i uprzejmi dla bankiera, którego słudzy nawet niewątpliwie staliby się przedmiotem ich uniżoności.

Jedna szczególnie rzecz zwiększyła szacunek, albo raczej, że tak powiemy, uwielbienie Danglarsa dla Cawalcantego.

Major, wierny zasadom Horacyusza, aby nic nie podziwiać, poprzestał, jakeśmy widzieli, na jednej odpowiedzi, dowodzącej jego wiadomości, z jakiego jeziora pochodzą najlepsze minogi, potem jadł już bez ustanku i do nikogo słowa nie przemówił.

Danglars wniósł ztąd odrazu, że tego rodzaju przepych jest rzeczą zwyczajną dla potomków świetnej rodziny Cawalcantich, którzy bez wątpienia, w Lukka żywią się samymi pstrągami, ze Szwecyi sprowadzanymi, węgorzami z Bretanii, tak jak hrabia, sprowadzający minogi z jeziora Fusaro, a sterlety z rzeki Wołgi.

Przyjął tedy z największą uprzejmością następujące wyrazy Cawalcantego:

— Jutro będę miał honor panu dobrodziejowi złożyć moje uszanowanie w pewnym interesie.

— A ja — odpowiedzaił Danglars — bardzo rad będę z wizyty pańskiej.

Poczem zaproponował Cawalcantemu, jeśli nie sprawi mu przykrości rozłączenie się z synem, aby razem z nim pojechał powozem.

Cawalcani odpowiedział, iż syn jego od dawna przywykł prowadzić życie niezależne, jako młodzieniec skończony; ma więc własne konie i swój ekwipaż, a ponieważ razem nie przyjechali, niema więc powodu, aby koniecznie nie rozłączali się przy odjeździe.

Major tedy wsiadł do powozu Danglarsa; bankier, siedząc obok nowego gościa, coraz bardziej wpadał w zachwyt dla zasad porządku i oszczędności tego człowieka, który jednakże był tyle hojnym dla syna, iż mu przeznaczył 50,000 franków rocznie, co mogło procentem przynajmniej od pięciu do szesciu kroć sto tysięcy liwrów.

Co do Andrzeja, ten z najlepszą miną wyszedł i na początek wyłajał groma, że nie zajechał po niego przed sam ganek, a czekał przy bramie, i tym sposobem naraził go, że kilkadziesiąt kroków przejść musiał piechotą do powozu.

Grom przyjął tę burzę z pokorą, ujął lewą ręką wędzidło, dla powstrzymania niecierpliwiących się koni, a prawą podał lejce Andrzejowi, który zabrał się do powożenia, stawiając lekkie buciki lakierowane na stopniu.

W tejże chwili nieznana jakaś ręka uderzyła go po ramieniu.

Młodzian odwrócił się, myśląc, że Danglars albo Monte-Chisto zapomnieli mu czego powiedzieć i dlatego zatrzymują go przy odjeździe.

Zamiast jednak spodziewanych osób, spostrzegł obcą jakąś figurę, od słońca ogorzałą, z gęstemi faworytami i błyszczącemi jak dyamenty oczami; na ustach jej igrał szyderczy uśmiech, a z otwartych warg wyglądały białe zęby, ostre i zgłodniałe, jak u wilka lub szakala.

Chustka w czerwone kraty otaczała głowę, zarosłą ciemnym, siwawym już włosem; szkaradniejszej istoty w łachmanach trudno sobie wyobrazić, przy wychudłem i kościstem ciele, tak, że kości zdawały się klekotać, jak w poruszanym szkielecie; ręka wreszcie, wsparta na ramieniu Andrzeja, którą młodzieniec najprzód dojrzał, wydała mu się niezmiernej wielkości.

Młodzieniec ujrzał tę postać przy świetle latarni powozu, i w pierwszej chwili uderzył go tylko szpetny widok napastnika, tak, że zadrżał i odskoczył.

— Czegóż chcesz odemnie? — rzekł.

— Przebacz, przezacny obywatelu — odpowiedział mężczyzna, podnosząc rękę do czerwonej chustki — może ci teraz przeszkadzam, ale potrzebuję pomówić z tobą natychmiast.

— Przecież wieczorem nie wolno żebrać — odrzekł grom,chcąc uwolnić jednem stanowczem poruszeniem pana swego od tej napaści.

— Ja też nie żebrzę, mój śliczny paniczu — odezwał się nieznajomy mężczyzna do służącego, spoglądając nań z tak ironicznym i przerażającym uśmiechem, iż ten cofnął się od razu — jabym chciał tylko dwa słowa powiedzieć twemu obywatelowi, który przed piętnastu dniami dał mi pewne zlecenie.

— Ciekawy jestem — odrzekł z kolei Andrzej z największą, jaką mógł okazać, uprzejmością, aby służący nie dostrzegł jego pomieszania — czego chcesz, mów prędko, mój przyjacielu.

— Jabym cnciał — rzekł mężczyzna w czerwonej chustce — abyś mi pan raczył oszczędzić trudu wracania pieszo do Paryża. Jestem bardzo znużony; nie jadłem tak dobrego jak pan obiadu, dlatego zaledwie mogę się utrzymać na nogach.

Młodzieniec wzdrygnął się na te szczególnej poufałości wyrazy.

— Ależ przecie powiedz mi, czego chcesz odemnie?

— Ja chcę, abyś pan był łaskaw pozwolić mi z sobą wsiąść do powozu i abyś mnie pan odwiózł do Paryża.

Andrzej zbladł, ale nic nie odpowiedział.

— To tak mi przyszło ni ztąd ni zowąd — dodał mężczyzna w czerwonej chustce, wkładając ręce do kieszeni i spoglądając na młodzieńca wyzywając wzrokiem — to tak mi przyszło ni ztąd ni zowąd, rozumiesz, mój mały Benedykcie...

Na to imię młodzieniec musiał się zastanowić; zbliżył się do groma i rzekł doń:

— Rzeczywiście, ten człowiek miał odemnie zlecenie, z którego teraz przyszedł zdać mi sprawę. Idźże piechotą do rogatek, a potem weź sobie fiakra, abyś się bardzo nie spóźnił.

Służący zdziwiony oddalił się.

— Odejdźmyż przynajmiej gdziekolwiek na bok — rzekł Andrzej.

— O! jeśli ci o to idzie, ja sam zaprowadzę cię w najbezpieczniejsze miejsce — odrzekł mężczyzna w czerwonej chustce.

I wziął konie za cugie i zaprowadził kabryolet do miejsca, gdzie rzeczywiście nikt nie mógł dojrzeć, z jakiem uszanowaniem Andrzej obchodzi się z napastnikiem.

— Trzeba ci wiedzieć, że ja bynajmiej nie dbam o chwałę jechania z tobą w pięknym powozie, ale jestem mocno znużony a prócz tego chciałbym jeszcze pomowić z tobą o bardzo ważnych interesach.

— Mniejsza o to, siadaj — rzekł młodzian.

Wielka szkoda, że jeszcze nie prędko miał dzień zabłysnąć, bo byłby to bardzo ciekawy widok takiego włóczęgi, rozłożonego na aksamitnych poduszkach haftowanych, przy młodzieńcu, elegancko ubranym, powożącym kabryoletem.

Andrzej gnał konia żyw aż do ostatniego domu posiadłości wiejskiej, nie przemówiwszy ani słowa do swego towarzysza, który tymczasem uśmiechał się i spoglądał w milczeniu, jakby rad był niezmiernie, iż odbywa przejażdżkę tak szybko i w tak pięknym pówozie.

Zaledwie wyjechali za Auteuil, Andrzej spojrzał wokoło dla przekonania się zapewnie, czy go kto nie widzi lub nie słyszy i, zatrzymując konia załamał ręce prawie z rozpaczą przed mężczyzną w czerwonej chustce i zawołał:

— Dlaczegoż chcesz koniecznie i tu zakłócać mi spokój?

— Ale dlaczegoż ty, mój chłopcze, przestajesz mi już ufać?

— A w czemże dałem ci dowody mojej nieufności?

— W czem? jeszcze pytasz? przecież rozstaliśmy się na moście. Powiedziałeś mi, że masz odbyć podróż do Piemontu i Toskanii, a tymczasem przyjechałeś do Paryża.

— I cóż ci to szkodzi?

— Nic a nic; owszem mam nadzieję, że mi to pomoże.

— Aha! widzę — rzekł Andrzej — iż zakładasz na mnie spekulacyę.

— Cóż to, zaczynasz mię łajać?

— Bo źle sobie postępujesz, panie Kadrusie, uprzedzam cię.

— Cóż, u pana Boga! nie gniewaj się, mój mały, powinienbyś przecie wiedzieć, co to jest nieszczęście; w nieszczęściu człowiek staje się zazdrosnym. Ja myślałem, że ty jesteś w Piemoncie, albo w Toskanii, i kształcisz się na jakiego cicerona; i żal mi cię było z całego serca, tak jak dziecka własnego. Wiesz przecie, że ja cię zawsze swojem dzieckiem nazywałem.

— No, no, i cóż dalej.

— Czekaj do stu katów!

— Miałem dosyć cierpliwości, kończ prędzej.

— Gdy wtem nagle widzę cię w pałacu, trzymasz kabryolet, ludzi, liberyę świetną. Czyś żyły złota odkrył, czy też kupiłeś patent na ajenta giełdowego?

— Jak widzę, bardzom dobrze powiedział, żeś zazdrosny.

— Owszem, jestem bardzo kontent, i to tak dalece, żem ci chciał, mój chłopaczku, oświadczyć to moje ukontentowanie, ale nie byłem, jak się należy ubrany, nie chciałem cię więc przy obcych zawstydzić.

— Co za ostrożność! — podjął Andrzej — nie chciałeś mnie zawstydzać, a napadasz na mnie w obecności służącego.

— Jakże chcesz moje dziecko? napadam na cię tam, gdzie cię mogę złapać. Masz niezmiernie żwawego konia, lekki kabryolet i sam jesteś wysmukły, więc się zwijasz jak ryba; gdybym cię był nie przydybał dziś w wieczór, możebyśmy się już nie spotkali.

— Przecież widzisz, że się nigdzie nie chowam.

— Widzę, że jesteś szczęśliwy, i ja także chciałbym to samo o sobie powiedzieć; ja zaś ukrywam się a nawet lękałem się nieraz, abyś ty mnie nie poznał; ale żeś mnie poznał — dodał Kadrus ze złośliwym uśmiechem — to bardzo dobrze, i bardzo przyzwoicie.

— Ciekawy jestem — spytał Andrzej — czego ci potrzeba?

— Opuściłeś mnie zupełnie, mnie starego towarzysza, kochany Benedykcie, to bardzo źle; miej się na ostrożności, abym potem nie był zanadto wymagającym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POSZUKIWANIA.

Ogłoszenia pod tą rubryką kosztują na jeden raz 50 centów, na trzy razy dolara.

Wawrzyniec Nosal rodem z Maciejowej w Galicyi, przebywający przed rokiem w Chicago, poszukiwany jest w ważnej sprawie przez swego kuzyna Józefa Nosal, 2720 Ann st., Philadelphia, Pa. (30)

Celestyn Piszański i Józefa Bartkiewicz w tym roku przybyli do Ameryki, poszukiwani są w ważnej sprawie przez swą znajomą Teodorę Trzęsińską, 2420 Forbes st., Pittsburg, Pa. (30)

KOWAL znający swój fach doskonale, poszukuje zajęcia u kowala lub w fabryce. J. Murszewski, Lemont, Ill, Cook Co. (30)

ORGANISTA niedawno przybyły z Europy, poszukuje zajęcia. Adres: Leon Józefkowicz, 198 I st., Passaic, N. J. (31)

Kazimierz Pickut poszukiwany jest w ważnej sprawie przez swego znajomego Ludwika Uhlas, box 478 Draversburg, Pa., Allegheny Co.

POTRZEBA polskiego nauczyciela, któryby mógł uczyć w szkole publicznej i musi posiadać certyfikat nauczycielski. Adres: S. Wietrzyński, clerk of the school district no. 1 Thorp, Wis., Clark Co. (33)

Pomocnik doktorski z praktyką w szpitalach i w zakładach leczniczych w Europie, poszukuje zajęcia. Adres: Piotr Tyktor, Hastings on Hudson, N. Y. (32)

Jan Bojda przebywający swego czasu w Johnstown a później w Braddock, Pa., poszukiwany jest przez swego znajomego Walentego Bieleckiego, 913 W. 18 st., Chicago, Ill.

Leon Izbicki został okradziony ze srebrnego zegarka europejskiego, nakręcanego k uczykiem podobnym do strzelby. Na zegarku jest wybita próba srebrna 84, a na cyferblacie są wyciśnione 2 strzelby i ruski napis. Kto znajdzie ten zegarek, otrzyma $5 wynagrodzenia. Adres: Leon Izbicki, box 52 Sub.sta. no. 1, Worcester, Mass.

Wincenty Murzyn rodem z gub. suwalskiej, poszukiwany jest w ważnej sprawie przez Fr. Bednarko, box 74, Athens, Ill., Menard, Co.

Agata Sitko w wieku 45 lat, która prawdopodobnie znajduje się w Chicago, wzrostu średniego, blondynka, waży 200 funtów, poszukiwana jest w ważnej sprawie przez swego męża. Kto mi poda jej adres, otrzyma $5.00 nagrody. Adres: Jan Sitko, 31st st. and Y st., So. Omaha, Nebr.

Kto nam przysłał Money Order na $4.00 z Madison, Ill. Przekaz był wykupiony 4 maja.

Wiadomości Miejscowe.

MAJĄTEK ruchomy korporacyj i osób prywatnych w powiecie Cook, o ile takowy ulega opodatkowaniu, oszacowano w tym roku na sumę $471,474,015. Z tej sumy przypada na miasto Chicago przeszło 452 milionów. W zeszłym roku podano wartość majątku ruchomego na $439,024,485. Ilość korporacyi i osób, podlegających opodatkowaniu, wynosiła w roku zeszłym 66,473, a w tym roku wynosi 79,583. Majątek Union Traction Co., oszacowany przed rokiem na przeszło 30 milionów, podano w tegorocznym wykazie na sumę $22,191,300. Po za miastem figuruje Evanston jako osada najbogatsza. Majątek tamtejszych mieszkańców oceniono na sumę $5,382,305.

"POLECI". — Grover Cleveland, który przez dwa terminy zasiadał w Białym Domu, ma znowu ubiegać się o nominacyę na kandydata na prezydenta ze strony demokratycznej.

Z początkiem jesieni klub handlowy w tutejszym mieście urządza bankiet. Głównym mówcą na tym bankiecie będzie Grover Cleveland i przy tej sposobności wyjawi swe zamiary. Oznaczenie dnia bankietu pozostawiono p. Clevelandowi. Zanim takowy naznaczy, zbada on wszystkie okoliczności i tętno uczuć narodu.

Od nagłej a niespodziewanej śmierci i od rządów Clevelanda, zachowaj nas Panie!

O STANIE papieża rozpoczęli w South Chicago sprzeczkę J. Bird i H. Kowalski, w trakcie której Bird wypowiedział jakieś złe słowo. Nie przemówiwszy słowa więcej, polak Kowalski powalił Birda na ziemię i zaczął go okładać. Z trudnością zdołała nadbiegła publiczność rozerwać strony walczące. Rezultat bójki jest ten, że Bird ma wybitych kilka zębów, a Kowalski siedzi w kozie.

MAJOR Harrison zawiadomił kompanię Union Traction, że po 30 lipca nie będzie jej wolno naprawiać ulic, znaczy to tyle, że miasto nie pozwoli tej kompanii na operowanie tramwai, jeżeli się nie zastosuje do poleceń komisyi ruchu miejskiego i wyroku sędziego powiatowego.

CZWARTKOWE posiedzenie rady miejskiej było jednem z dłuższych i najważniejszych w ostatnich pięciu latach. Posiedzenie zakończyło się o 2 godzinie po północy. Uchwalono bowiem ostatecznie 50 głosów przeciw 14 ardynaus nadający spółce telefonicznej i telegraficznej Illinois przywilej na 26 lat, a pobudowanie tunelów dla przesyłki paczek, towarów i dla umieszczenia w aich drutów i aparatów telefonicznych.

KOMPANIE kolejowe otrzymały polecenie aby przedsięwzięły środki przeciw zanieczyszczaniu powietrza dymem wydobywającym się z lokomotyw. Jest to rzecz bardzo pożądana dla zdrowia mieszkańców, ale rada miejska powinna także zakazać niektórym fabrykom, w okolicach więcej zaludnionych, używać miękki węgiel do pędzenia maszyn.

STRAJK woźnic w domu handlowym Kellogg przybrał niesłychane rozmiary. Strajkierzy dopuszczali się rozmaitych wybryków w czwartek i piątek, blokując ulice, wybijając okna w całym gmachu itp. Liczne oddziały policyi starały się rozpędzić strajkierów i zaprowadzić porządek i wskutek tego przyszło do krwawych starć między policyą i strajkierami. Policya aresztowała kilkadziesiąt strajkierów i osadziła w więzieniu. Strajk trwa dalej i major Harrison widział się zmuszonym ogłosić proklamacye, w której zwraca uwagę strajkierów, że takie postępowanie nie będzie cierpiane, gdyż to zakłóca spokój publiczny. Aby jednakże położyć koniec tym awanturam, odkomenderowano na miejsce strajku 500 policyantów, którzy mają, pilnować porządku.

Aresztowani strajkierzy będą stawieni przed sąd i ukarani za niewłaściwe zachowanie i zakłócanie porządku publicznego.

Cała sprawa ma być oddana do sądu i strajkierzy pociągnięci do odpowiedzialności.

BURZA połączona z gradem i piorunami przeciągnęła we wtorek w południe przez nasze miasto, wybijając tysiące szyb w oknach. Wszystkie prawie szyldy nad składami zostały pozrywane lub pokrzywione i połamane. Szkody są znaczne.

W jednem z pism spotykamy mały artykulik w rodzaju fantazyi czy rozmarzenia, który tak brzmi w całości:

Tak mi cię żal! . . . .

Zbudzona tchnieniem lipcowych pól, pieszczona miłosnym pogwarem konwalii i bzów, stanęłaś oto w świetlistej koronie, królowo nasza!....

W bezbrzeżnem morzu płomieni ostatnie mgły wloką rozwiewne skrzydła swoje, odchodząc w krainę zapomnienia, a z wonnych oceanów kwiecia, z szumiących łanów ojczystych wstaje pieśń dziękczynna i płynąc w podniebną otchłań lazurową, niesie pozdrowienie słońcu!

Płoną kobierce purpurowych róż, niby wstęgi piorunowe z czarodziejskiej legendy, a serca ludzkie drżą w upojeniu, rozmodlone w świetle pieśni i woni....

Tak mi cię żal, ojczyzno!!!

Oto cały artykulik, z którego nie możemy wyciągnąć żadnej przewodniej myśli i ogromnie nam tego żal....

Ale bądźmy łagodni.

NIEBYWAŁE ZJAWISKO.

W Australii panowały od pewnego czasu straszne upały. Gdy doszły już do kulminacyjnego punktu, pojawiły się nagle tam, jak zwykle, suche burze, które sypały tumany gorącego piasku i drobniutkiego pyłu. Burzy, która miała miejsce przed kilku dniami, towarzyszyło niezwykłe zjawisko. Pojawiły się w rozpalonem powietrzu ogniste kule, które pękały na kształt granatów, rozsypując się tysiącami iskier. Całe powietrze wydało się jakby napełnione ogniem, jednakże były także chwile zupełnej ciemności w biały bezchmurny dzień, tak że trzeba było zapalać latarnie na ulicach a ptactwo układało się do snu. W Longdale'u kula ognista zapaliła dom. W Chiltren (Victoria) wybuchająca kula również wszczęła pożar. Z wielu innych miejscowości w Victorii donoszą o wielkiej ciemności i kulach ognistych. Niektóre z tych kul znikały raptownie bez powodu. W blizkości Sidney kula zraniła człowieka, pękając nad jego głową. Z tych wypadków wynika, że tajemnicze kule były to błyskawice, w tej formie bardzo rzadko się pojawiające.

NOWE KSIĄŻKI.

Otrzymaliśmy w tych dniach znaczny zapas książek z Europy następującej treści:

WYBÓR PISM Maryi Konopnickiej, jubileuszowe wydanie ludowe. Książka obejmująca 344 stronic wyraźnego druku na pięknym papierze, zawiera najpiękniejsze poezye i kilkanaście pięknych powiastek. Cena egzemplarza 40c.

ZA WOLNOŚĆ I LUD, opowiadanie z lat 1863-1864 przez Maryę Wysłouchową Książka ta zawiera kilkanaście pięknych ilustracyi z powstania i napisana jest tak pięknie, że czytającego pobudza do łez. Książka ta w każdym domu polskim znajdować się powinna jako ewangielia naszego prześladowania i męczeństwa. Cena 30c.

VIVANT STUDIOSI BIBENTES, zbiór ulubionych piosnek i toastów ludowych z nutami. Kto lubi piosenki wesołe w Polsce ogólnie między ludem i studentami śpiewane, temu polecamy to dzieło. Cena 30c.

W. Dyniewicz.

Nowe książki do nabożeństwa sprowadzone z Europy.

OŁTARZYK ZŁOTY. Zbiór modłów i pieśni służący dla dusz pobożnych, wydanie dla mężczyzn, z dodatkiem nieszporów i pieśni łacińskich, format 3½x5 cali, okute i ze zamkiem (No. 6s) 635 stronic. Cena 75c.

OŁTARZYK POLSKI Katolickiego Nabożeństwa, zawierający najwięcej używane modlitwy, pieśni i rozmyślania. W oprawie skórkowej, złocony tytulik i brzegi, z chromo-obrazkiem na okładce, Rozmiar 4x5½. Cena $1.00

OŁTARZ Rzymsko-Katolicki w modłach i pieśniach na cześć Bogu i Najświętszej Panie Maryi wystawiony. Rozmiar 3½x5¾. 690 stronic. (No. 3s). Oprawne czarno w ozdobną robioną skórkę, z wyzłacanemi brzegami i tytulikami. Cena $1.00

Litewskie książki do nabożeństwa

MAZAS ALTORELIS, oprawna w angielskie płótno brzegi czerwone. Cena 50c

SZALTINIELIS I, opis jak wyżej. Cena 75c

GARBE DIEWUJ, opis jak wyżej. Cena 75c

BAŁSAS II, opis jak wyżej Cena $1.00

KANTICZKOS, opis jak wyżej. Cena 1.00

AUKSAS ALTORIUS, opis jak wyżej. Cena 1.00

SZALTINIS, opis jak wyżej Cena 1.00

Listy Polskie na Poczcie.

2 Abramski M
3 Adamczyk M
6 Andryjacik A
20 Baldiga J 2
21 Baldiga P
22 Balen S
23 Bałaban A
25 Bartnik S
36 Bemas J
37 Bil P 2
41 Bobak M
42 Bojda Z
48 Broenik J
51 Buderek J
52 Budryński J
53 Bujan T
55 Byrnas F
57 Borian S
67 Chudziński W
74 Cwynar J
77 Czich wski J
81 Długosz F
84 Dowomyk J
86 Drwnia ki J
8 Dwarnczek S
90 Dworzański F
106 Fran s ekowicz L
107 Frankiewicz M
113 Gatas W
114 Ganik J
117 Gawlik A
118 Gaworek M
121 Gisalska A
122 Głuszak W
131 Graboski T
132 Grabowska A
135 Grigorowicz F
142 Grzybowski L
143 Grzylie ski P
144 Gurtatoski J
147 Gwiazda J
148 Gworek J
149 Guziec J
179 Iwanowicz P
182 Jankowska Z
185 Jakomuski I
190 Jordan W
199 Kamiński A
200 Kamiński J
201 Ka lan L
208 Kerak J
212 Kiełtyka P
213 Kl akowicz M
216 Klis J
218 Klipacki A
224 Koniezka S
231 Kotwaryński J
238 Krzyzak P
239 Kubik J
240 Kubiński W
243 Kuchy J
246 Kuchy J
247 Kusryński M
251 Kuzyka P
252 Kwiatkowska M
254 Labuda J
255 Lewandowski M
267 Liotkowski J
268 Lis J
273 Madyzyk W
274 Madziarz M
275 Magiora S
276 Majerzyk J
277 Majkut L 2
278 Maliszewski
279 Malyszka A
280 Malmowski J
281 Malkanskojtc K
284 Marcinkowski J
289 Migalonka A
290 Mic alski K
291 Mikosz M
298 Mielak M
299 Mizal J
300 Mosinia J
301 Mobrzyka M
303 Motyka W
305 Mrowiec J
306 Murawski J
307 Murawski J
308 Myda J
309 Należny Z
310 Napiorkowski J
315 Niezyński W
318 Nosik P
319 Nowakoska M
320 Obrzut W
323 Olszewski F
325 Owsiak W
332 Pes achowki L
340 Podolska M
341 Pelek Z
345 Postawa J
356 Radowicki S
357 Ragowska K
359 Rakowski J
360 amoski S
361 Ran k S
364 Rzeźnik B
379 Rybak T
380 Rybak B
381 Rysz J
383 Sidelek F
384 Sajdak M
391 Sas J
408 Sinkewicz M
411 Sircński P
413 Sliwski K
414 Smietański J
415 Śniegowski F
417 So arczyk M
426 Sterzotski J
427 Stefansy A
433 Stoklora J
439 Stoch J
440 Surowiec K
443 Stympiński W
444 Szamoski P
445 Szczepanek S
446 S czudko K
447 Szmuskiewicz W
450 Szymzak S
451 Szymczyk J
456 Tazbier S
461 Tomasiewicz J
465 Trewziński T
468½ Urba ew k. F
472½ Wajda F
476 Watraba P
476½ Watera S
491½ Wieniiowski W
495½ Wojciechowski K 2
487 Wojcik J
487½ Wobek J
488½ Wozyniak J
491½ Zajac F
492 Za a W
494 Zbylat J
494½ Zetrojewski J
496½ Zlaja J
497 Ziatka F
497½ Zieliński J
499 Ziom k J

CENY TARGOWE.

CHICAGO, 22 lipca 1903.

Towar	Cena
MĄKA: beczka	
Zimowa patents	3.60—3.80
Najlepsza wiosenna	4.90
Żytnia zimowa	2.55—2.75
PSZENICA ZIMOWA (buszel)	
No. 4 czerwona	68–75
No. 3 czerwona	76½—77
No. 2 czerwona	77¼
No. 4 twarda	65–74
No. 3 twarda	76—76½
PSZENICA WIOSENNA (buszel)	
No. 3	82
No. 4	74
ŻYTO (buszel)	
No. 2	52
No. 3	50
No. 4	47
KUKURYDZA (buszel)	
No 4	48–50
No 3	49½
No. 2 żółta	49—50
No 2	50—51
No. 3 biała	49—50
No. 3 żółta	50—51
OWIES (buszel)	
No. 2	40
No. 2 biały	41
No. 3	35—39
No. 3 biały	39—41
No. 4	34—36
No. 4 biały	36–39
Standard	40–42
SIANO (1000 funtów)	
Wyborna tymotka	12.00—17.00
No. 1	12.00–13.00
No. 2	11.50
Wieprzowina (100 funtów)	16.87—17.00
Smalec	8.75—8.85
Żeberka	9.10—9.20
SŁOMA (1000 funtów)	
Żytnia	9.00—10.00
Pszeniczna	5.50—6.50
Owsiana	5.50—6.50
Ryżowa	9.00—10.00
PRODUKTA MLECZNE:	
Ser Young America	11
Ser twins	10½
Ser brick	11
Szwajcarski	11—12
Limburski	10
Masło śmietankowe	20
Firsts	18
Seconds	17
Dairies	18
Jaja, (tuzin)	18
Niesortowane	12
DROB (funt)	
Kury (żywe)	11
Indyki (żywe)	8—10
Kurczęta (żywe)	14–17
Kaczki	18
Gęsi tuzin	4.00—6.00
OWOCE	
Jabłka (beczka)	1.00–3.50
Cytryny (pudło)	2.00—2.75
Banany (pęk)	40–1.50
KARTOFLE (nowe)	36—75
Słodkie	40—50
JARZYNY	
Cebula (pudło)	75–1.00
Zielona buszel	75—1.00
Kapusta (beczka)	1.00
Sałata boxa	25—50
Ogórki (tuzin)	35—45
Groch zielony, buszel	50—85
W strękach	55—85
Szparagi (pęk)	15
BAWEŁNA (bela)	
Majowa	11.20
Lipcowa	10.50
Sierpniowa	10.21
BYDŁO	
Woły tuczne	5.25—5.60
Zwykłe	4.75—5.00
Cielęta	3.50—6.75
Świnie tuczne	7.00—7.55
Prosięta	5.00—6.00
Owce	5.00—7.00
Jagnięta	5.50—7.50